

# informato**r**

**GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI**

ISSN 1505-8476



**nr 258**  
październik 2010





## PO PROSTU: STARA, DOBRA KSIĄŻKA!

Myśląc o nowej wersji poprzedniego wstępniaka zastanawiałem się m.in. nad tematem książki jako takiej (trochę zainspirowały mnie protesty przeciw planom podniesienia podatku VAT na ów „produkt”) – ale w końcu, z uwagi na nazbyt wariacki miesiąc, zdecydowałem się wówczas na wstępniak luzacko-remanentowy. Po przeczytaniu numeru 257 – poczułem się jednak dodatkowo zmotywowany przez ósmy felieton Krzysztofa Sokołowskiego...

Dyskusja wywołana wspomnianą sprawą VAT-u poruszyła kilka różnych aspektów związanych z książką. Postaram się je wymienić i ustosunkować się do nich.

Pieniądze. Od nich nie sposób uciec w tej dyskusji. Ponieważ książki są w Polsce, jak na kieszeń przeciętnego obywatela, relatywnie drogie. I podniesiona, wraz ze zwiększonym podatkiem, cena – droższą tę wzmocni. Za PRL-u książki były tanie; ale interesujące tytuły zdobywało się spod lady, zaś techniczna jakość większości wydań była fatalna – i pogarszała się z każdą dekadą tamtej rzeczywistości. Obecnie można bez trudności nabyć dowolny tytuł (jeżeli nie z półki księgarskiej – to ściągnąć przez internet) w dowolnym wydaniu (np. w miękkiej lub twardej oprawie). Jednak ceny tak poszybowały do góry, że często rezygnujemy z kompletowania polskiego wydania serii, której posiadanie było ongiś marzeniem (dotyczy to szczególnie wydawnictw albumowych, jak chociażby kompletu *Fistaszków*).

Walory. Przełom wieków zafundował nam całe spektrum mediów związanych z informacją, rozrywką, sztuką. Nie jestem ich wrogiem. Doceniam je i – w większości – z nich korzystam; trudno by mi już zresztą było bez sporej części z nich funkcjonować. Jednak indywidualny kontakt z książką, czynność długotrwałego czytania (a nie tylko odczytywania krótkich informacji) – daje wewnętrzny rozwój o takiej skali głębi, jakiej nie zapewni ograniczenie się do mediów obrazkowych. One, owszem, pomagają nam w unaocznieniu różnych zjawisk oraz w szybkim zdobyciu „pigułki” informacji – nie rozwijają jednak ani wyobraźni, ani samodzielnego myślenia. Najsmutniejsze zaś jest to, iż nieczytająca część młodzieży nawet nie zdaje sobie sprawy ze swego zubożenia (bo, jak istoty z drabiny generacji bytów u Snerga, nawet nie jest w stanie pojąć i ogarnąć swych ograniczeń); my zaś dziwimy się, iż wciąż przybywa funkcjonalnych analfabetów (a przecież to wszystko rzutuje nie tylko na humanistykę, ale także na nauki ścisłe). Pociuszający jest fakt, iż środowisko „fantastów” należy do najbardziej czytających (i to nie tylko SF/F/H) środowisk w Polsce!

Technika. Konkurencją książki jako przedmiotu są od niedawna nie tylko telewizory, monitory, komputery czy konsole. Pojawiły się również audiobooki i książki elektroniczne. Ale „zagrożenie” z ich strony wydaje się mniejsze. Słuchacz audiobooka nadal obcuje z konkretną powieścią – tyle tylko, że nie czyta jej sam, ale słucha w interpretacji (często znakomitej) aktora. Audiobook może więc funkcjonować nie „zamiast”, lecz „obok” (np. podczas długiej jazdy samochodem czy dla osób mających poważne problemy ze wzrokiem); stwarza też nadzieję, iż po dany utwór sięgną ci, którym czynność czytania sprawia trudności. E-booki z kolei mają, obok gadżetowego efekciarstwa, jeden plus: ogromnie pojemną pamięć. Pewnie zafascynują urodzonych technokratów – nigdy jednak nie stworzą tej intymnej więzi, co pachnący i szeleszczący wolumin... Niezbyt też dobrze czyta się na dłuższą metę literki z ekranu! Poza tym urządzenia elektroniczne mają swoje specyficzne ograniczenia. Jednym z nich są ciągłe zmiany technologiczne: kto dziś pamięta np. dyskietki? Przytoczono niedawno anegdotę o jakimś ważnym zapisie dla NASA sprzed lat. Dziś trzeba było zrekonstruować urządzenie do jego odczytu; udało się dzięki jedynemu egzemplarzowi znalezionemu w piwnicy u jednego z naukowców (tylko trzeba było pozbyć się wcześniej... gniazda myszy). Innym problemem jest nietrwałość popularnych nośników zapisu cyfrowego (Czy ktoś zebrał może wszystkie rodzinne fotografie na chińskiej płytce za złotówkę? To współczuję!).

Odrębną kwestią jest brak czasu na powolne wczytywanie się, podczas długich zimowych wieczorów, w wielotomowe XIX-wieczne sagi. Ale o tym pisałem parę lat temu...

# URODZINY

Szacowni grudniowi Jubilaci!  
Życzymy Wam spokojnego, statecznego,  
zdrowego i poważnego Nordconu  
- jak co roku...

*Redakcja INFO*

04	Lance Oszko
05	Krzysztof Sokołowski Tomasz Świdorski
07	Andrzej Dubiński
08	Mariusz Czach
09	Michalina Biedrzycka
10	Damian Modrzejewski
13	Piotr Terszel
14	Ewa Białołęcka Michał Stawski
24	Anna Mach
25	Adam Lewandowski



# Turniej Warhammer: Inwazja

18 września, w klubie osiedlowym "Maciuś" odbył się turniej gry karcianej "Warhammer Inwazja".

Główny organizator jadąc do „Maciusia” miał krakę samochodową i realizacja turnieju stanęła pod znakiem zapytania. Jednakże Fortep przeforsował samodzielne poprowadzenie gry!

Udział wzięło 6 uczestników. Odbyło się 5 rund – w systemie każdy z każdym. Zwycięzcą turnieju został M. Pepliński z kompletem zwycięstw, na drugim miejscu uplasował się M. Domagalski.

Był to pierwszy turniej z cyklu imprez wspieranych przez firmę Galakta – dystrybutora gry na rynek polski. Głównym sponsorem imprezy był sklep "Rebel".

Sama gra ma niedługą historię, gdyż została wydana około 1,5 roku temu, a przetłumaczona na język polski na wiosnę 2010. Od tamtej pory liczba jej sympatyków stale wzrasta, co w niedługim czasie, miejmy nadzieję, zaprocentuje znacznie większą frekwencją na turniejach. Najbliższa okazja na rywalizację jeszcze w tym roku, a tym czasem gratulujemy zwycięzcy.



## W październiku nie zabrakło karcianych atrakcji.



Tym razem Dział Gier Karcianych we współpracy z organizatorami Voyagera przygotowali cały dzień rozgrywek na tym minikonwencie.

W niedzielę 24 października od godziny 10.00 wystartował niesankcjonowany turniej w bardzo zabawnym formacie EDH (szczegóły dotyczące formatu można znaleźć na stronach: [www.tsmtg.blogspot.com](http://www.tsmtg.blogspot.com) oraz [www.dragonhighlander.net](http://www.dragonhighlander.net)). W turnieju wzięło udział aż 18 osób! Zegraliśmy 2 rundy w podach 2 x 4 osoby i 2 x 5 osób oraz top5 (trwało to ponad 5 godzin, bo tak to jest z grą multiplayer). Zresztą struktura turnieju nie jest taka istotna. Była naprawdę mega zabawa. Osobiście powiem, że prawie zapomniałem, jak to jest grać w mtg tylko dla przyjemności, a nie rywalizując turniejowo.



Zacznę od listy graczy i punktacji. Punkty były przydzielane za odpadnięcie z poda. Przykładowo – osoba, która odpadła jako druga z poda, otrzymała 2 punkty; osoba, który wygrała pod, otrzymała 5 punktów. W ten sposób po dwóch rundach lista rankingowa wyglądała następująco:



[Lp., Nazwisko i imię, r1, r2, suma punktów, talia, generał]

- 1) Mrozek Michał, 5, 5, 10, UB control, Oona, Queen of the Fae
- 2) Kurek Roman, 4, 5, 9, 5c, Horde Of Nations
- 3) Szymański Mateusz, 5, 4, 9, Mono W, Crovax, Ascendant Hero
- 4) Cieśliński Piotr, 5, 3, 8, Mono BROWN, Karn Silver Golem
- 5) Trepczyk Adrian, 3, 5, 8, Mono G Elfy, Ezuri, Renegade Leader
- 6) Górski Bartosz, 4, 4, 8, Mono Black, Volrath the Fallen
- 7) Jakubowski Adam, 4, 4, 8, BGW, Teneb, the Harvester
- 8) Szwichtenberg Bartłomiej, 2, 5, 7, UB control, Sygg, River Cutthroat
- 9) Lehman Jędrzej, 5, 2, 7, Mono black zombies, Balthor the Defiled
- 10) Mrozek Dominik, 3, 4, 7, BG Rock, Nath of the Gilt-Leaf
- 11) Kornacki Mateusz, 4, 2, 6, RG Aggro, Ulasht, the Hate Seed
- 12) Szwichtenberg Radosław, 2, 4, 6, WG Survival, Captain Sisay
- 13) Bułakowski Janusz, 3, 2, 5, Mono U, Venser, Shaper Savant
- 14) Sobiech Franciszek, 2, 3, 5, Naya, Uril Miststalker
- 15) Ulatowski Przemysław, 3, 1, 4, UW control, Grand Arbiter Augustin IV
- 16) Kałamarz Łukasz, 1, 3, 4, 5c, Scion of the Ur-Dragon
- 17) Rac Szymon, 2, 1, 3, Mono U, Mistform Ultimus
- 18) Jasonek Jakub, 1, 2, 3, UB control, Sygg, River Cutthroat

Turniej ten był miłą odskocznią od rozgrywek sankcjonowanych i zgromadził zaskakującą liczbę graczy. Dodatkowym przyjemnym akcentem były nagrody dla uczestników w postaci boosterów sponsorowanych przez GKF.

Od godziny 16.00 ruszały dwa sankcjonowane turnieje w formacie draft i standard. Na drafta stawiało się 16 osób. Stworzyliśmy 2 pełne pody. Na draftcie były takie osobistości Trójmiejskiej Sceny – jak Piotr Andrys (wicemistrz Polski 2010), Świstak (uczestnik Pro Tour 2010), Migacz (Top 8 Mistrzostw Polski 2010). Jak widać, było od kogo pouczyć się, jak dobrze grać. Na pierwszym podzie wygrał Andrys, drugi był Świstak, a na drugim podzie pierwszy był Cfany, a drugi był Ulatowski.

Na turniej w formacie standard znalazło się 9 chętnych. Wygranym okazał się Zbigniew Wegner.

Przez cały dzień przewinęło się około 50 graczy zainteresowanych różnymi formatami rozgrywek. Bardzo się cieszę, że udało się rozegrać tak duży draft i że EDH zgromadziło tylu chętnych.

Na zakończenie chciałem podziękować Jackowi "Kane'owi" Kominkowi (koordynatorowi Voyagera) za wsparcie i dofinansowanie z ramienia GKFu 7 boosterów na nagrody na EDH, oraz Wam, graczom, za tak liczne przybycie i dobrą zabawę!

Janusz „Stalkerowaty” Bułakowski



# ZAPOWIEDZI WYDAWNICZE

Listopad 2010 (uzupełnienie)

## **KRÓL POZA BRAMĄ (THE KING BEYOND THE GATE) – DAVID GEMMELL**

Wydawca: Mystery. Data wydania: 16 listopada 2010 Wznowienie

## **SILMARILLION (SILMARILLION) – JOHN R.R. TOLKIEN**

Wydawca: Amber. Data wydania: 18 listopada 2010 Wznowienie

## **DOŻYWOCIE – MARTA KISIEL**

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: 19 listopada 2010

## **KONIASZ. WILK SAMOTNIK. TOM 2 (KONIAŠ. VLK SAMOTÁŘ) – MIROSLAV ŽAMBOCH**

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: 19 listopada 2010

## **ŁOWCY DUSZ – JACEK PIEKARA**

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: 19 listopada 2010 Wznowienie

## **CZERWIE DIUNY (SANDWORMS OF DUNE) – BRIAN HERBERT, KEVIN J. ANDERSON**

Wydawca: Rebis. Data wydania: 23 listopada 2010

## **DEMON W SERCU (DEMON INSIDE) – STACIA KANE**

Wydawca: Amber. Data wydania: 23 listopada 2010

## **SMOKI KRASNOLUDZKICH PODZIEMI (DRAGONS OF THE DWARVEN DEPTHS) – MARGARET WEIS, TRACY HICKMAN**

Wydawca: Zysk i S-ka. Data wydania: 23 listopada 2010

## **ŚMIERĆ MROCZNEGO LORDA (DEATH OF A DARKLORD) – LAUREL K. HAMILTON**

Wydawca: Zysk i S-ka. Data wydania: 23 listopada 2010

## **WAMPIRY (BOOK OF THE VAMPIRE) – NIGEL SUCKLING**

Wydawca: Bellona. Data wydania: 23 listopada 2010

## **PRZEKŁADANIEC – STANISŁAW LEM**

Wydawca: Agora. Data wydania: 24 listopada 2010

## **MISJA NA LANTEEB (STEALTH) – KAREN MILLER**

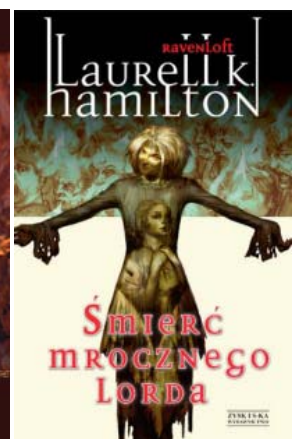
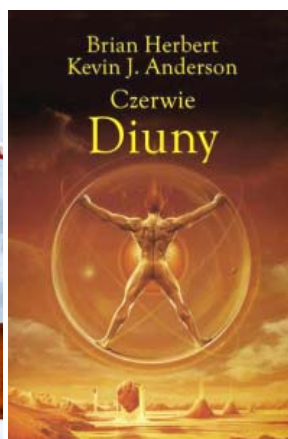
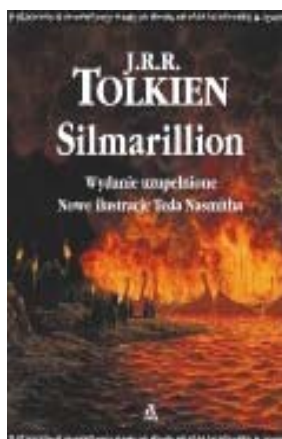
Wydawca: Amber. Data wydania: 25 listopada 2010

## **UCIECZKA (HOURGLASS) – CLAUDIA GRAY**

Wydawca: Amber. Data wydania: 25 listopada 2010

## **JA, INKWIZYTOR. DOTYK ZŁA – JACEK PIEKARA**

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: 26 listopada 2010





**H.P. LOVECRAFT. BIOGRAFIA (H.P. LOVECRAFT: A LIFE) – S.T. JOSHI**

Wydawca: Zysk i S-ka. Data wydania: 30 listopada 2010

**MARSZ AUTOMATONÓW (THE AFFINITY BRIDGE) – GEORGE MANN**

Wydawca: Copernicus Corporation. Data wydania: 30 listopada 2010

**OPOWIEŚĆ ZOMBILIJNA (I AM SCROOGE: A ZOMBIE STORY FOR CHRISTMAS) – ADAM ROBERTS**

Wydawca: Zysk i S-ka. Data wydania: 30 listopada 2010

**PO ZMROKU (AFTER DARK) – JAYNE CASTLE**

Wydawca: Amber. Data wydania: 30 listopada 2010

**Grudzień 2010 (wstępnie)****ZDRADA (BETRAYALS) – LILI ST. CROW**

Wydawca: Amber. Data wydania: 2 grudnia 2010

**MROCZNA MAGIA (DARK MAGIC) – CHRISTINE FEEHAN**

Wydawca: Amber. Data wydania: 3 grudnia 2010

**JA CIĘ KOCHAM, A TY ŚPISZ WAMPIRZE (ALL I WANT FOR CHRISTMAS IS A VAMPIRE) – KERRELYN SPARKS**

Wydawca: Amber. Data wydania: 7 grudnia 2010

**KROKI W NIEZNANE. ALMANACH FANTASTYKI 2010**

Wydawca: Solaris. Data wydania: 7 grudnia 2010

**KRÓL SNÓW (THE KING OF DREAMS) – ROBERT SILVERBERG**

Wydawca: Solaris. Data wydania: 7 grudnia 2010

**MIDNIGHT RISING – LARA ADRIAN**

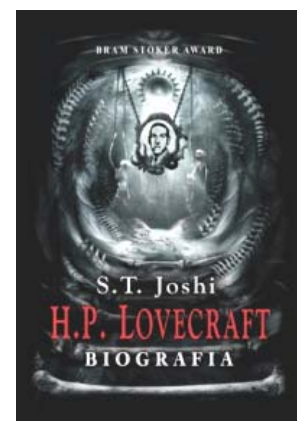
Wydawca: Amber. Data wydania: 10 grudnia 2010

**OBLĘŻENIE (SIEGE) – KAREN MILLER**

Wydawca: Amber. Data wydania: 10 grudnia 2010

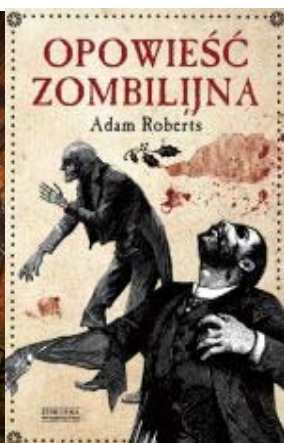
**WIEŻA ZIELONEGO ANIOŁA – TAD WILLIAMS**

Wydawca: Rebis. Data wydania: Grudzień 2010



Zapewne pojawi się jeszcze pakiet 5-6 książek z Fabryki Słów. Jeszcze niestety nie ujawniono go.

Na podstawie serwisów:  
[Esensja.pl](http://Esensja.pl), [Katedra.nast.pl](http://Katedra.nast.pl), [Solarisnet.pl](http://Solarisnet.pl)  
 przygotował *Janusz Piszczek*





## NAGRODA ŻUŁAWSKIEGO 2010

Główną Nagrodę otrzymał Michał Protasiuk za powieść *Struktura*; Złote Wyróżnienie przypadło Annie Kańtoch za powieść *Przedksiężycowi* (tom I); Srebrnym Wyróżnieniem uhonorowano Łukasza Orbitowskiego za powieść *Święty Wrocław*; Nagroda Specjalna za nowatorską prozę najwyższej próby została przyznana Jackowi Dukajowi za utwór *Wroniec*. Gratulujemy!



Nagroda  
Literacka  
im. Jerzego  
Żuławskiego

wg: [www.gildia.pl](http://www.gildia.pl)

## DYSPUTA O E-KSIAŻCĘ

Podczas Targów Książki Akademickiej i Naukowej ACADEMIA (20-22 października; na Politechnice Warszawskiej) odbyła się konferencja poświęcona publikacjom elektronicznym „Książka elektroniczna – zagrożenie czy szansa”.

wg: [www.gildia.pl](http://www.gildia.pl)



## ŚLĄSKIFONY 2009

Podczas zakończenia tegorocznej edycji Seminarium Literackiego Śląskiego Klubu Fantastyki zostały przyznane nagrody Śląskifony za rok 2009. Tym razem jej laureatami zostali: Twórca Roku 2009 – Jacek Dukaj i Jakub Jabłoński; Fan Roku 2009 – Paweł „Ausir” Dembowski; Wydawca Roku 2009 – Michał „Puszon” Stachyra i Maciej „Sqva” Zasowski (Kuźnia Gier). Gratulujemy!

grzeszcz

## EKSPRESJONIŚCI I TAPERZY

Od pokazu obrazu Fritza Langa *Metropolis* w rzeszowskim kinie Zorza rozpoczął się „Ekran w Mroku Tour” – czyli cykl projekcji filmów niemieckich ekspresjonistów z muzyką na żywo. Na mapie imprezy się też Poznań, Warszawa, Elbląg, Łódź, Lublin, Olsztyn i Szczecin.

wg: [www.gildia.pl](http://www.gildia.pl)

## „MAŁY NOBEL” DLA ROWLING

Autorka cyklu o Harry’im Potterze została laureatką prestiżowej nagrody im. Hansa Christiana Andersena. Ową nagrodę – przyznawaną przez Międzynarodową Izbę ds. Książek dla Młodych (IBBY), wynoszącą pół miliona koron duńskich i wręczaną co drugi rok w Odense – może otrzymać zarówno pisarz, jak też ilustrator.



jpp

## GROZA NA SREBRNYM I SZKLANYM EKRANIE

Sieci kin i stacje telewizyjne uczciły wigilię Wszystkich Świętych tradycyjnymi już przeglądami horrorów. W tym roku najciekawsze wydały się dwie inicjatywy: retrospektywa polskich filmów grozy w warszawskim kinie Kultura oraz miniprzegląd współczesnych horrorów reżyserów hiszpańskich zaserwowany przez kanał Ale kino.

jpp



## WPROWADZIE NIE W LA – ALE ZAWSZEĆ W USA

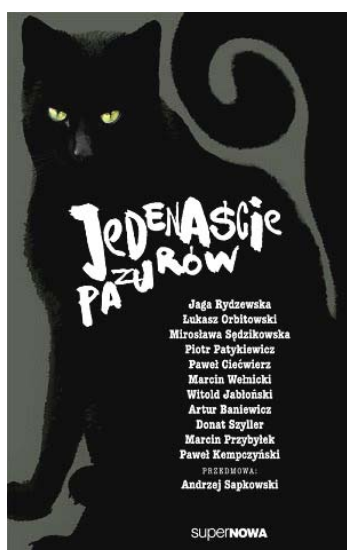
Film *Erratum* Marka Lechkiego zdobył nagrodę Gold Plague w kategorii debiutów reżyserskich na 46. Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Chicago.

wg: [www.gildia.pl](http://www.gildia.pl)

## AMERYKAŃSKI REMAKE SKANDYNAWSKIEGO HORRORU

*Pozwól mi wejść* był jednym z najciekawszych europejskich horrorów ostatnich lat; niedawno przypomniał go jeden z kanałów polskiej telewizji. Teraz mamy w kinach jego hollywoodzką wersję – mniej nastrojową, bardziej efektowną (ale i tak plasującą się zdecydowanie powyżej przeciętności).

jpp



## KOLEJNA FANTASTYCZNA GRATKA DLA KOCIARZY

Na początku listopada wydawnictwo SuperNowa wprowadza do księgarni antologię *Jedenaście pazurów*, której motywem przewodnim są koty. Opowiadania do tego zbioru napisało wielu znanych polskich autorów.

wg. [www.gildia.pl](http://www.gildia.pl)

## TYTUŁ TRZECIEGO FILMU NOLANA O BATMANIE

...to *The Dark Knight Rises*; premierę zapowiedziano na rok 2012 (oby przed grudniem!).

wg: [www.gildia.pl](http://www.gildia.pl)

## „STANISŁAW LEM” POLECI W KOSMOS

Tu obyło się bez niespodzianki i kontrowersji: Stanisław Lem został patronem pierwszego polskiego satelity (o internetowym plebiscycie pisaliśmy w niusach wakacyjnych).

jpp

## ECHA HALLOWEEN

Peregrynacje duchów i zombich stały się znów zaczynem dyskusji o obchodzeniu tego święta między Tarami a Bałtykiem. Dziwi tylko, iż zamiast argumentów o amerykańzacji czy kiczu – padały (i to chyba całkiem serio!) argumenty o okultyzmie i demonach...



jpp



## CEZARY „ZOMBIE” BARYKA

Anglosaska zabawa polegająca na dopisywaniu do klasycznych powieści horrorowych wążków dotarła nad Wisłę – tu prekursorem okazał się Kamil Świąłkowski z *Przedwiośniem żywych trupów*.

jpp

# Okruchy Ogana

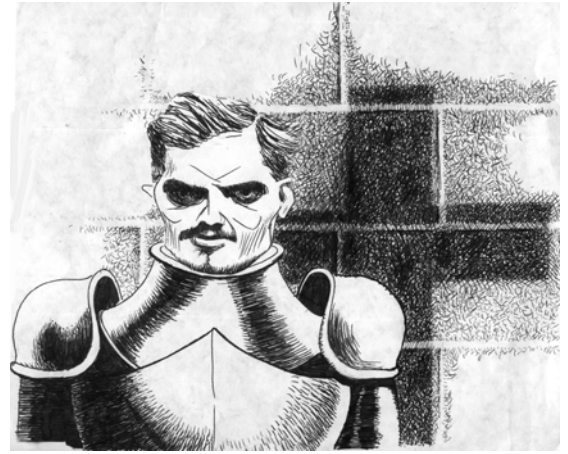
Korespondencja nr 14

## O pochodzeniu fantastyki i nie tylko

W numerze 4 (25) 2010 kwartalnika „Czas Fantastyki” pomieszczono szkic Wita Szostaka „Po co fantasy realizm?”. W głównej mierze jest on poświęcony narracyjnym tendencjom literatury fantasy oraz wyrzekaniom na to, że nie są one wystarczająco odkrywczyste. Co więcej – zdaniem Szostaka – bezmyślnie kopiują one (tendencje narracyjne, nie wyrzekania) strategie opowiadania przejęte od sf, które zostały żywcem wyprowadzone z XIX-wiecznej powieści realistycznej. I o ile empirycznej prozie jaką jest sf realizm przystoi, o tyle fantasy – według Autora – nie. Dlatego projektuje on dla niej nową oryginalną formę, która pozwoliłaby wyrwać się tej odmianie fantastyki z murów tradycji spychającej ją na manowce współczesnej literatury. Jest to zatem kolejny w ostatnim czasie głos (po narzekaniach na kondycję fantastyki i jej literackie zapóźnienie będących stałym elementem tekstów krytycznych w „SF&F. Edycja polska”) w rozkręcającej się na nowo dyskusji na temat: fantastyka rozrywkowa czy problemowa. W poniższym felietonie chciałem się jednak skupić przede wszystkim na kwestiach genealogicznych oraz na tym, co z nich wynika.

Fundamentem rozważań Szostaka jest założenie, że różnice między sf a fantasy to konsekwencja narodzin tych odmian tematycznych fantastyki w odrębnych „materiałach”. SF wywodzi on z oświeceniowych idei postępu, pozytywizmu i dwudziestowiecznego rozwoju nauk – natomiast zarys fantasy dopatruje się w mitologii.

Nie do końca się z takim postawieniem sprawy zgadzam. Pomijam fakt, że widziana w tej perspektywie fantasy okazywałaby się literaturą o wielowiekowej tradycji i nazywanie jej młodszą siostrą sf byłoby co najmniej niezręczne. Nie



wdaję się także w rozważania o tym, że – jak poucza nas szkoła krytyki mitograficznej – nie ma tekstu literackiego, który nie wywodziłby się z mitologii i nie tylko fabuła, ale nawet gatunki są jedynie odbiciem głównych mitów opisujących rzeczywistość świata (noszą one zazwyczaj nazwy pór roku: wiosny, lata, jesieni i zimy). Wobec tej ogólnoliterackiej teorii wszystkiego nie tylko szkic Szostaka, ale także moje rozważania okazałyby się nic nieznaczące i niepotrzebne.

Ale czas przejść do ad remu. Fantastyka narodziła się na przełomie epoki oświecenia i czasów romantyzmu. Jako taka mogła zaistnieć dopiero wtedy, kiedy ostatecznie i nieodwołalnie ludzki umysł zatriumfował nad światem ducha; kiedy racjonalizm, empiryzm i naukowy krytycyzm zostały przyjęte jako wystarczające do opisanego świata i kiedy idealizm wieków średnich został jednoznacznie potępiony i nazwany ciemnym. Dopiero w tak wyprzeżonym świecie mogło pojawić się to, co nieracjonalne, nieweryfikowalne, obce i fantastyczne po prostu. Oświeceniu zawdzięczamy zatem, że to, co kiedyś było jednym z elementów składowych rzeczywistości, a co uparcie nie chciało zniknąć, zostało zesłane do kategorii bytów i zdarzeń niewyjaśnialnych (groźnych). Romantyzm zaś znalazł miejsce, w którym mogły one swobodnie egzystować – literaturę fantastyczną (w jakiś sposób scalała ona świat, pozwalając współistnieć zarówno mędrca szkiełka i oku jak i czuciu i wierze gawiedzi).

Fantastyka od samego początku rozwijała się w trzech swoich głównych odmianach. Impulsem dla powstania horroru były opowieści gotyckie, a potem wampiryczne – to one ukształtowały podstawowe strategie straszenia czytelnika. Najważniejszym dla narodzin sf



tekstem był „Frankenstein albo Nowy Prometheus” Mary Wollstonecraft Shelley i co znamienne – to była też powieść grozy.

Z prozą fantasy sprawa jest bardziej skomplikowana. Przede wszystkim dlatego, że słowo to w języku angielskim oznacza po prostu 'fantazję, fantastykę' i w tym znaczeniu bywa najczęściej używane przez anglosaskich literaturoznawców, wydawców i czytelników. Natomiast literatura, o której tu piszę, jest bardziej skonwencjonalizowana (zwłaszcza jeśli chodzi o obraz kreowanej rzeczywistości – podobny do tego z legend, romansów rycerskich, baśni i mitów). Niemniej, gdyby we wskazanych powyżej czasach szukać utworu mogącego przyczynić się do rozwoju fantasy, byłyby nim zapewne „Pieśni Osjana” (przykład typowej dla romantyzmu rehabilitacji ludowej fantastyki w wersji anglosaskiej).

Jak zatem widać, korzenie wszystkich odmian fantastyki sięgają tych samych czasów; a ich narodziny związane są z buntem przeciw wszechwładzy empiryzmu (bo chociaż projekty dr. Frankensteina wyrastają z idei naukowego postępu, to przecież w ich efekcie nie przybywa na świecie dobra, a Frankenstein jest protoplastą postaci szalonego naukowca). Dopiero w pozytywizmie, z jego umiłowaniem utylitaryzmu, pojawiły się próby wprzęgnięcia fantastyki w budowę nowego lepszego świata. Ale nawet wtedy wciąż pozostaje ona literaturą wyobraźni – opisuje bowiem byty nieistniejące, choć mogące po spełnieniu pewnych warunków zaistnieć. Inna kwestia, że te kryteria nie zawsze wydają się racjonalne (jak np. lżejszy od powietrza metal w „Lalce” i sposób wytłumaczenia jego powstawania).

SF nie jest literaturą naukową, czy nawet popularnonaukową, ale raczej spekulatywną (jak w połowie XX wieku rozwijał ten skrót Robert A. Heinlein). I rzeczywiście: więcej w niej z gry (niekoniecznie ze strachem, ale i tego nie brakuje) niż z naukowego wykładu.

Tu drobna dygresja: Andrzej Zgorzelski za fantastyczne uważał jedynie takie dzieło, w którym dochodziło do radykalnego zakwestionowania porządku zaprezentowanego w utworze świata. Jeśli w rzeczywistości tekstu czary czy podróże kosmiczne były czymś naturalnym – wówczas mieliśmy do czynienia z historią na swój sposób realistyczną. Natomiast jeśli jakieś

zdarzenie, postać itp. nie przystawały do opisywanej rzeczywistości – dopiero wtedy była to fantastyka. W myśl tej teorii jedynie horror ostałby się jako fantastyką, podczas gdy sf i fantasy straciłyby jej miano. Może to tłumaczy, dlaczego fantasy posługuje się narracją typową dla prozy realistycznej – otóż, podobnie jak sf, nie jest ona prawdziwą fantastyką.

Inną ważną kwestią podnoszoną przez Szostaka jest relacja między fantasy a mitem. Szostak zdaje się uważać ją za głęboką; a na pewno chciałby, aby taka ona była. Ja bym zaś jej nie demonizował. Fantasy nie jest mitem, nie uprawia mitologii, a nawet jeśli się do niej odwołuje, to bez wnikania w jego istotę (czerpie co najwyżej z mitologicznych motywów, schematów fabularnych, itp.). Mit to emanacja światopoglądu, tekst o charakterze religijnym, opowiadający o powstaniu świata i tłumaczący sens jego istnienia. Wymaga wiary i wiernych, zupełnie odwrotnie niż fantasy. Jej matecznikiem jest raczej baśń; i to taka, która powstała w tradycji anglosaskiej, a zatem pełna cudownych istot i niesamowitych wydarzeń. Fantasy nie powstałaby także bez legend i romansów rycerskich. A przede wszystkim bez tęsknoty za światem jednoznacznych wartości, uwolnionych od tyranii racjonalności. Może to upodabnia ją do mitu i nadaje jej pewien religijny rys (odrzucony zresztą przez współczesnych autorów z Mievillem na czele). Ale nawet jeśli miała kiedyś fantasy ambicję (a może słabość) kreowania jakichś wyidealizowanych rzeczywistości, to były to jedynie konwencjonalne zabiegi oparte na marketingowych analizach (nie liczę tu oczywiście twórczości autorów takich jak Tolkien czy Lewis, których sukces pociągnął naśladowców).

Współcześnie w utworach fantasy dominuje paradygmat swoistego historycznego realizmu (jak np. u tegorocznego zajdlisty Wegnera): nie epatuje się już czytelnika magią i cudownością, a konflikty nie mają charakteru transcendentnego i totalnego. To jest ten sam trend, który obserwowaliśmy w epizodach I–III „Gwiezdných Wojen” – niepojęta moc sprowadzona do stężenia midichlorianów we krwi, konflikt między Republiką a Imperium jako efekt brudnej politycznej gry – niezwykłość starej trylogii porzeczana raz na zawsze. Racjonalizm XXI wieku odniósł kolejne zwycięstwo i wykastrował

fantastykę z niepoprawnych treści. Nie przypadkowo w wyborach zwyciężają partie i kandydaci pragmatyczni, pokonując ideowych – gdyby Solidarność musiała powstać dziś, nie miałyby żadnych szans.

Na zakończenie jeszcze parę słów o projekcie nowej formuły narracyjnej dla prozy fantasy zaproponowanej przez Szostaka. Generalnie sprowadza się on do tego, aby fantasy wyzbyła się realistycznego modelu opisu rzeczywistości na rzecz „metod fantastycznych” (kłania się Zgorzelski). Autor przywołuje tu jako przykład tej metody twórczość m.in. Brunona Schulza czy iberoamerykański realizm magiczny.

Wszystko to piękne – i możliwe, że odświeżyłyby tę odmianę fantastyki – ale problem leży w horyzoncie oczekiwań czytelnika (by przywołać teorię odbioru dzieła literackiego H. R. Jaussa). W tym samym numerze „CzF” Jacek Dukaj przy okazji recenzowania powieści Iana McEwana „Solar” zadał sobie pytanie: w jakiej grupie społecznej należałoby szukać odbiorców mitologicznej fantasy. Odpowiadając – wskazał na „obrońców krzyża” (to mogłoby się zgadzać, bo mnie rzeczywiście bliżej było do nich niż do fejsbukowej zgrai), ale obawiam się, że ten typ narracji, którym posługiwał się np. Schulz, mógłby ich do lektury zniechęcić. Ja w każdym bądź razie Schulza nie trawię. No, nie mogę go czytać – i już. Wydaje mi się także, że nawet pisana tradycyjnie fantasy nie znalazłaby uznania wśród wskazanej przez Dukaja grupy (no, może gdyby zareklamować im Tolkiena

jako gorliwego katolika, skusiliby się na sięgnięcie po jego powieści, choć już po pierwszym zdaniu „Hobbita” mogliby lekturę zakończyć, bo czym u licha jest hobbit). Zresztą, nie oszukujmy się, dla wielu ludzi nawet najtwardsza sf to „bajki” nie warte lektury.

Z drugiej strony – nie rozumiem tych utyskiwań Szostaka na realistyczną metodę opisu stosowaną przez fantasy. Wszak jest to tylko narzędzie i sposób komunikowania się z czytelnikami. Nie przesądza ani o kształcie tekstu, ani o jakości dzieła, a wszystko zależy od tego, kto trzyma pióro. To sytuacja identyczna jak w wypadku syntezatorów i mojej ulubionej tzw. klasycznej muzyki elektronicznej (czyli elektronicznego rocka). Korzystając z syntezatorów, można grać na weselach, uprawiać disco-polo czy elektro-pop. Ale można też grać na tych instrumentach tak jak Klaus Schulze, Edgar Froese, Ralf Hutter, Florian Schneider, Mark Shreeve, Ian Boddy, Peter Dinklage, Wolfram Spyra, Gert Emmens, Ron Boots, Bernd Kistenmacher – i mógłbym tak jeszcze wymieniać i wymieniać.

Urok fantasy polega na kreowaniu odmiennych od naszego, niezwykłych światów; ale czytać o nich chciałbym tak, by poznać je najlepiej, jak się da. Nierealistyczne metody opisu oddałyby zapewne wrażenie ich obcości, ale czy przybliżyłyby mnie do odkrycia, jakie te nowe literackie lądy są naprawdę. Myślę, że wątpię. Dlatego pozostanę wierny klasycznej fantasy, tak jak wolę klasyczną el-muzykę.



NUMER 4 (25) 2010

# CZAS Fantastyki

Cena 7,90 zł

KWARTALNIK DLA ZAAWANSOWANYCH

© David Dato Venezia (2010), www.daviddatovenezia.com

W NUMERZE: O tajemnicach w fizyce i... realizmie w fantasy (szkice T. Sołeckiego i W. Szostaka) • Jaga Ryzdewska testuje „teologię Morgana” autora „Modyfikowanego węgla” • M. Michalski sprawdza realia pocztowe u Pratchetta • P. Majka pyta: co gry oferują czytelnikowi fantastyki • M. Cetnarowski prawi o makabrze i przemocy w komiksie • Wracamy do Opów Złotyżyski: „Klasyczna SF straciła sens”, mówi M. Żelkowierni Konrad Fiałkowski • FELJETONY: J. Dukaj, P. MAJKA, W. Miaskiewicz, A. GRZEGORZAK, K. Gluch • SF na Świecie i w Sieci (Rosja i Czechy oraz „Za dwa lata koniec świata”) • KOMIKS: 2 x Raitmar: „Golem” i „Polityka miłości” • FILM: „Salomon Kane” Michaela J. Bassetta.

ISSN 1733-133X 10

774733 433305

Wasz wielkokacki korespondent



Stefan Pastuszewski  
*Pamiętki inflanckie*  
 Bydgoszcz 2003  
 Instytut Wydawniczy  
 „Świadectwo”



# BADEKER LIRYCZNY

W jaki sposób czytać *Pamiętki inflanckie* Stefana Pastuszewskiego? A raczej: od czego zacząć ich lekturę? Pytania te jedynie pozornie wyglądają na pozbawione sensu. Gdyby odpowiedzieć na nie stosując tradycyjne kryteria związane z lekturą tomiku poezji – zubożyłoby to dzieło Pastuszewskiego niepomniernie. Nie są bowiem *Pamiętki inflanckie* zbiorkiem poetyckim wypełnionym jedynie-li wierszami (a może poematem lirycznym, rozpisany na wspomnienia, szczególnie „migawki z podróży” – o czym później). Nastrój współtworzą jednak dodane informacje o charakterze historyczno-etnograficzno-geograficznych ciekawostek oraz zamieszczone zdjęcia i ryciny. I niech czytelnika nie zmyli fakt, iż owe, niespotykane zazwyczaj w zbiorkach poezji, treści podane są mniejszą czcionką. Ich ranga może ująć czytelniczej uwadze w trakcie pobieżnej lektury, jednak gdy wczytamy się w owe marginalia – dostarczą nam one równie wielką satysfakcję poznawczą i estetyczną, co lektura poezji.

Jaka zachodzi jednakże relacja pomiędzy utworem poetyckim, a – nazwijmy go umownie – elementem faktograficznym? Co jest tu komentarzem, a co pretekstem do owego dopowiedzenia? Wielkość czcionki i usytuowanie na stronie sugerowałyby rangę wiersza. Czy jednak nie można (choć w niektórych przypadkach) traktować utworu poetyckiego jako impresji na temat zapisanych prozą informacji?

Pozostawiając sygnalizowane powyżej wątpliwości interpretacyjne nierozwiązanymi – warto zwrócić uwagę na szczególną cechę poezji autora *Pamiętek inflanckich*: jest nią olbrzymi szacunek, jaki poeta żywi dla wielokulturowości i wzajemnego przenikania się różnych tradycji na terenach, które przemierza w trakcie lirycznej wędrówki. Ową estymę dla odmienności i docenienie jej wyraża bodaj najpełniej wprowadzenie do zbioru, za jakie należy uznać *Bocianie gniazdo*. Dystych, rozpisany zostaje na różnojęzyczne wersje, z których każda jest równie uprawniona – co inne. Utwór ten (by posłużyć się notką Pastuszewskiego) napisany został w Medum – wsi wyznaczającej początek, a zarazem kres *podróży realno-mistycznej* (s. 5). Uwaga o charakterze miejsca jego postania jest nie bez znaczenia dla pełniejszej interpretacji tomiku.

Owa kolistość ujęcia, charakterystyczna dla narracji mitycznych, wyznacza strategię odczytania *Pamiętek inflanckich* jako próby lirycznego powrotu do wyidealizowanej przestrzeni „małej ojczyzny”. Taką interpretację temu zdaje się potwierdzać sygnalizowany wcześniej wiersz *Bocianie gniazdo*. Jego tytuł odnosi się jednak nie tylko do elementu konstrukcyjnego żaglowców, pozwalającego na obserwację horyzontu, lecz – w najprostszej wykładni – również do gniazda bociana. Ptak ten zaś w ludowej mitologii postrzegany jest jako ten, który zawsze powraca do miejsca, które obrał jako swą siedzibę. Czy wiersze Pastuszewskiego są takimi właśnie bocianami powracającymi do duchowej ojczyzny – Inflanck? Autorowi *Pamiętek inflanckich* udało się wybronić przed ckliwo-sentymentalnym tonem, który niejednokrotnie zastępować ma w kresowych nostalgicznych siłę poetyckiego wyrazu.

Inflanty w wierszach to przestrzeń tyleż wyidealizowana, co odziera z owej idealizującej otoczki. Wiele jest w *Pamiętkach...* utworów potwierdzających związek autora ze sferą sacrum; nie brak jednakże i takich, w których centrum stawiany jest człowiek – bezbronny wobec niezależnych odeń mechanizmów historii i społeczeństwa, a zarazem zasługujący na szacunek za cierpliwość, z jaką niesie swe brzemień (*Łotyszka przed końcem świata*).

Zawarte w *Pamiętkach inflanckich* utwory to przede wszystkim – jak się wydaje – prywatne rozliczenie się autora z przeszłością i pamięcią o niej. Nie jest to jednak pamięć Historii, zwraca tu uwagę raczej perspektywa jednostkowa. Inflanty, widziane oczami wędrującego-pielgrzyma to kraina czasu, który jednocześnie upływa i zatrzymuje pamięć o dniu wczorajszym. Wędrowiec to symbol człowieka, dla którego

*nieważne kierunki  
ważne wędrowanie (...)  
czyli życie (Dalej, dalej, s. 24).*

Wiersze Pastuszewskiego wydają się zawieszane pomiędzy historią ziem, które przemierza – a jednostkowym doświadczeniem Boga. Nie oznacza to, że poezja ta jest „poezją religijną”; przynajmniej nie w takim sensie, w jakim zazwyczaj traktuje się przywołane tu określenie. W odniesieniu do twórcy *Pamiętek inflanckich* należałoby rozważyć, czy nie jest to liryka obrazująca uobecnianie Boga w świecie poprzez wykorzystywanie środków charakterystycznych dla literackiego obrazowania *sacrum*. Najświętsze utożsamiane jest tu z najprostszym; to zaś, co najbliższe, okazuje się uniwersalne. Nawet Niemen w swej zmienności rzeki stanowi punkt orientacyjny w topografii wspomnień, do którego odnoszone są inne rzeki – wszak *a jeśli rzeka to Niemen (Księżyc i Słońce, s. 20)*.

Wiersze Pastuszewskiego to lektura trudna, wymagająca wyciszenia, ale też i dająca niezmierną satysfakcję czytelniczą. Nie gubiąc się w labiryntach pustych gier językowych i panestetyzmu *Pamiętki inflanckie* proponują odbiorcy poezję niespieszną, dającą wewnętrzne uspokojenie. Jest to poezja taka, do której warto powracać, ilekroć odczuwa się potrzebę ucieczki od świata i jego (wielekroć brudnych i dwuznacznych etycznie) spraw w – by powtórzyć za wieszczem – *kraj lat dziecinnych(...)* *On zawsze zostanie*

*Święty i czysty, jak pierwsze kochanie,  
Nie zaburzony błędów przypomnieniem,  
Nie podkopany nadziei złudzeniem,  
Ani zmieniony wypadków strumieniem*

*Adam Mazurkiewicz*





## PÓŁKA Z DVD

# Radosna rzeźnia



Odkąd okazało się, że człowiek może być reperowany przy pomocy części zamiennych, popyt na nie stale wzrasta. Teorie spiskowe, przy entuzjastycznym poparciu ze strony kina i DVD, stawiają nam przed oczami całe organizacje przerabiające zdobyte ofiary na zestawy pierwszej pomocy dla schorowanych milionerów. Jest popyt, jest podaż – jak to w kapitalizmie.

Film *Repo Men - Windykatorzy* odwraca tę sytuację. Nikt tu nie poluje na potencjalnych dawców, bo uszkodzone narządy wymienia się rutynowo na mechaniczne organy korporacji *The Union* (o dziwnie znajomym logo). Co prawda kosztują majątek, ale firma łaskawie udziela kredytu, oczywiście na bandycki procent. Toleruje także brak spłaty przez 3 miesiące. Za to potem... Jak mówi główny bohater: *nie spłacasz rat za samochód – bank go zabiera, nie spłacasz domu – bank go zabiera, nie spłacasz wątroby – zjawiam się ja*. Zjawia się windykator i wycina to, co należy do firmy. Co prawda, zgodnie z protokołem, proponuje klientowi pogotowie lub szpital, ale z taką przeszłością kredytową... sami rozumiecie.

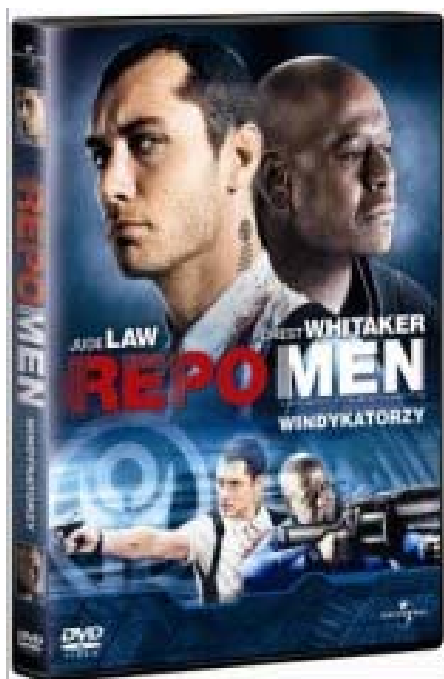


Nasz bohater, Remy (Jude Law) i jego partner Jake (Forest Whitaker) wręcz uwielbiają swoją pracę, zwłaszcza jeśli towarzyszy jej jakaś większa zadyma. Jeśli nie – tłuką się zapamiętałe we własnym zakresie, co jest przyzwyczajeniem wyniesionym przez nich jeszcze z podstawówki. Przerzucają się anegdotami o klientach (że powiedzmy któryś się poryczał, mazgaj jeden). Robią więc to, co umieją i lubią, z radością i zaangażowaniem, w dodatku za niezłe pieniądze.

Jake patroszy dużo, chętnie i każdego (w tym dobrych znajomych), a także w każdych okolicznościach, choćby podczas grillowania u Remy'ego, kiedy pilne zlecenie dowożą mu przed dom. No, ale ten facet jest stanu wolnego. Natomiast żona Remy'ego (Carice Van Houten) kręci nosem i chce posadzić męża za biurkiem (nie lubi jego wysokich zarobków, czy jak?). Ten łamie się stopniowo, lecz jego kumpel Jake, radosny rzeźnik, wie znacznie lepiej, czego mu trzeba. Zrobi więc wszystko, żeby nie zmarnować kariery najlepszego windykatora w całej firmie i najlepszego przyjaciela jednocześnie.

Remy podejmuje ostatnie zadanie – czysta frajda, bo chodzi o jego idola. Jak sam mówi: *wychowałem się na jego muzyce. Skoro już trzeba wyrwać mu serce, niech to zrobi ktoś, kto go docenia*. Bierze się do roboty z całym szacunkiem i estymą, jak nie przymierzając czeladnik Severian z *Księgi Nowego Słońca*, lecz nieoczekiwana awaria defibrylatora gwałtownie wyłącza go z akcji. Kiedy zaś wraca do przytomności w szpitalu, widzi roześmiane gęby Jake'a i swego szefa Franka (Liev Schreiber), który właśnie pobłogosławił go nowiutkim sercem, prosto z taśmy. I nawet kpi sobie, że do tej roboty to trzeba mieć serce.

Tak oto nasz windykator staje się klientem własnej firmy. Co więcej: zamiast zintensyfikować działalność i czym prędzej pozbyć się długu (na co liczył Jake),



zaczyna identyfikować się ze swymi ofiarami, przez co staje się niezdolny do wykonywania zawodu. Jest to o tyle dziwne, że technicznie rzecz biorąc jest teraz facetem bez serca, ale może świadczy to po prostu o doskonałej jakości wyrobów jego firmy.

Jak łatwo się domyślić – Remy zjeżdża gładko po równi pochyłej. Nie może, niestety, liczyć na pobłażliwość głównego krwiopijcy, czyli swego szefa Franka, gdyż ten ma typowe serce biznesmena. Jake motywuje kumpla, jak może, lecz zleceń za niego odwalać nie będzie. A żona, rzecz jasna, wyrzuca go na bruk, bo to przecież nie dość, że rzeźnik, to jeszcze bankrut i nieudacznik. Tak oto nasz Piotruś Pan zostaje brutalnie zmuszony do gwałtownego dojrzewania.

Tak wygląda pierwszych 40 minut filmu, czyli zawiązanie właściwej akcji. Dalej spoilerować już nie będę, opowiem za to o swoich odczuciach. Po pierwsze, początkujący brazylijski reżyser Miguel Sapochnik (*vel* Rosenberg *vel* Rosenberg-Sapochnik) wykonał zadziwiająco dobrą robotę. Film jest pełen czarnego humoru, ewidentna makabra podana jest lekko, na zupełnym luzie. Zasadnicza część filmu (której nie streszczałem) dobrze równoważy akcję i dramatyzm, a zakończenie ujawnia drugie dno kryjące się za pozornym *happy endem*. Z kolei aktorzy grają bardzo dobrze, zwłaszcza główna trójka Law – Whitaker – Schreiber, ale także Alice Braga jako Beth z drugiej części filmu.

Płytę DVD uzupełniają m.in. spoty reklamowe ze świata przedstawionego, znacznie bardziej agresywne od tych, które znamy z naszej telewizji. Wszystkie korespondują bardzo dobrze ze specyficzną tonacją *Windykatorów*, stanowiąc zabawne dopełnienie całości. Uważam, że całej ekipie należą się wielkie brawa za ten film, który można śmiało zadedykować reformie naszej służby zdrowia.

Andrzej Prószyński

P. S. Nie wiadomo dlaczego wydawcy płyt DVD upierają się przy tym, żeby tekst lektora i napisy były tłumaczone przez różne osoby. W naszym przypadku *windykatora* zastąpiono w napisach *komornikiem*. Wyszło to dość zabawnie (chodzi o komory serca, czy jak?).

### **Repo Men – Windykatorzy** (Repo Men, 2010)

ocena FilmWeb: 6,8 (dobry), IMDb: 6,2

produkcja: Kanada, USA

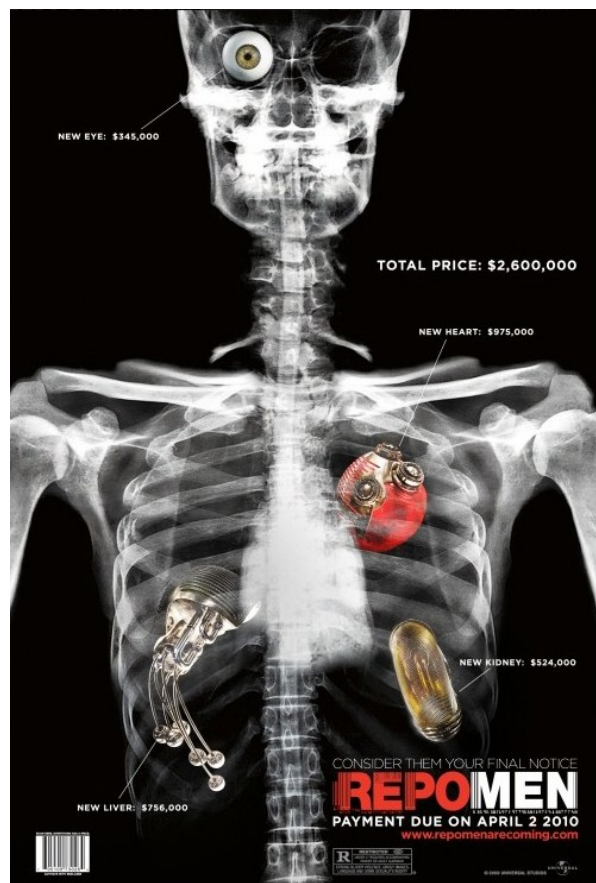
reżyseria: Miguel Sapochnik

scenariusz: Garrett Lerner, Eric Garcia

wg powieści *The Repossession Mambo* Erica Garcia (Harper Collins 2009, nominacja do PKD Award)

czas trwania: 111 min.

**Obsada:** Jude Law (Remy), Forest Whitaker (Jake Freivald), Liev Schreiber (Frank, szef), Alice Braga (Beth), Carice Van Houten (Carol, żona Remy'ego)



# SUBIEKTYWNY PRZEGLĄD SERIALI SF



*"Nazywam się John Crichton. Jestem astronautą. Przez tunel w czasoprzestrzeni dostałem się do odległej części wszechświata... na statek... na żyjący statek pełen dziwnych, obcych form życia. Wzywam pomocy. Czy ktoś mnie słyszy? Ściga mnie szalony dowódca wojskowy... robię co w mojej mocy... Szukam drogi powrotnej."*



Telewizyjny serial SF „Farscape” (polski tytuł „Ucieczka w kosmos”) został nakręcony w Australii przez Jim Henson Company we współpracy z Hallmark Entertainment oraz Sci Fi Channel. Premiera miała miejsce 19 marca 1999 w Sci Fi Channel AXN Sci-Fi.

Sci Fi Channel emitował serial na terenie USA, BBC2 na terenie Wielkiej Brytanii, SAT1 w Niemczech i Space Channel na terenie Kanady.

Pierwsze dwa sezony były emitowane w Polsce w latach 1999-2001 na kanale Wiza1 do momentu likwidacji kanału pod koniec marca 2001 r. Od końca maja 2008 "Ucieczkę w kosmos" mogą w Polsce oglądać widzowie kanału AXN Sci-Fi. Aktualnie serial emitowany jest w piątkowe, sobotnie i niedzielne wieczory.

Pomysł serialu sięga początku lat 90. (pierwotnym tytułem miało być „Space Chase”) i jest autorstwa Briana Hensona, Rockne O'Bannona i scenarzysty/producenta wykonawczego Davida Kempera łącznie serial zawiera 88 odcinków w 4 sezonach (po 22 w każdym).

Bohaterem serialu jest współczesny amerykański astronauta John Crichton, w którego postać wcielił się amerykański aktor Ben Browder. Podczas lotu testowego zaprojektowanym przez siebie modułem o nazwie Farscape zostaje wciągnięty przez tunel czasoprzestrzenny, który wyrzuca go po drugiej stronie wszechświata prosto w sam środek kosmicznej bitwy. Moduł Crichtona zostaje przyciągnięty przy pomocy promienia dokującego do wnętrza ogromnego Leviathana, żywego statku kosmicznego o imieniu Moya. Na pokładzie znajduje się Ka D'Argo, Dominar Rygel XVI oraz Pa'u Zotoh Zhaan. Trójka więźniów przejęła kontrolę nad Moya i planuje ucieczkę. W ten sposób Crichton dołącza do byłych więźniów obecnych na pokładzie Moyi i wszyscy razem muszą szukać sposobów ucieczki przed ścigającymi ich nieustannie Rozjemcami. Więźniom udaje się ostatecznie usunąć kołnierz sterujący Moyi i dokonać odpalenia jak najdalej od bitwy. Podczas tego manewru myśliwiec typu Prowler, z Rozjemczynią oficer Aeryn Sun (Claudia Black – znana również z SG-1) na pokładzie, dostaje się w strumień dokujący i zostaje wciągnięty na pokład Leviathana, wkrótce po przybyciu tam Crichtona. Z powodu jej kontaktu z więźniami dowódca Aeryn, kapitan Crais uznaje ją za "nieodwracalnie skażoną". Nie mając dokąd iść, chcąc nie chcąc, dołącza do przedziwnej grupy sprzymierzeńców. Podczas ucieczki przed kapitanem Craisem trafiają do Niezbadanych Terytoriów. Od tej pory ich jedynym celem jest znalezienie drogi powrotnej do swoich domów, jak również, ucieczka przed zawziętym Craisem.



Tyle tytułem krótkiego streszczenia pierwszego odcinka i nawiązania do akcji w pierwszym sezonie. Co dalej – obejrzyjcie sami.



W latach 2000, 2001 i 2002 „Farscape” zdobył dwie nagrody Saturn – w kategoriach „najlepszy serial w sieciach kablowych” i „najlepszy aktor telewizyjny” (Browder). W 2002 roku Farscape również był nominowany w kategoriach „najlepszej aktorki telewizyjnej” (Claudia Black jako eks-Rozjemczyni Aeryn Sun) oraz „najlepszej drugoplanowej aktorki telewizyjnej” (Gigi Edgley jako Chiana).

Jeden z twórców serialu, Brian Henson, tradycyjnie specjalizował się w lalkarstwie (zobacz: „Muppety”) i „Farscape” nie jest tu wyjątkiem: dwie z głównych postaci są elektronicznie sterowanymi lalkami – zdetronizowany władca Hynerii, małego wzrostu Dominar Rygel XVI (głos: Jonathan Hardy) oraz Pilot statku (głos: Lani Tupu) – wielorękie stworzenie potężnych rozmiarów, fizycznie i psychicznie połączone z biomechanicznym Leviathanem, Moya.

„Farscape” miał już ukończoną produkcję czwartego sezonu oraz zakontraktowany piąty sezon, który we wrześniu 2002 został nieoczekiwanie wycofany z produkcji, zostawiając nagłe i dramatyczne zakończenie ostatniego odcinka czwartego sezonu z napisem „Ciąg dalszy nastąpi”...

Fani błyskawicznie zorganizowali potężną kampanię listowo-telefoniczno-mailową, a także reklamową, mając nadzieję z jednej strony wyrzucić presję na Sci Fi, żeby wznowili produkcję serialu, lub przekonać inną, bardziej wypłacalną sieć telewizyjną do przejścia serialu.

Pierwotne plany, aby zniszczyć dekoracje, gdy produkcja czwartego sezonu była już ukończona, a informacja o anulowaniu serialu wszystkim znana, szybko uległy zmianie – częściowo na skutek tej potężnej kampanii zorganizowanej przez fanów. Dekoracje złożono i spakowano w oczekiwaniu na dalsze decyzje. Gdy było pewne, że serial nie zostanie wznowiony, dekoracje zniszczono.

W maju 2004 Sci Fi Channel zapowiedział emisję dwuczęściowego miniserialu (zwanego obecnie piątym sezonem) noszącego tytuł: „Ucieczka w kosmos: Wojny Rozjemców” (tytuł oryginalny: „Farscape: The Peacekeeper Wars” – w Polsce emitowany na kanale Hallmark).

Celem miniserialu było rozwiązanie dramatycznego zakończenia czwartego sezonu, a także powiązanie kilku ogólnych wątków serialu. Premiera miała miejsce 17 października 2004 roku (w Polsce na Wielkanoc 2005 roku).

Kontynuacja w formie cotygodniowej nie jest przewidziana. Prawdopodobne są miniserialy, jak również produkcje kinowe. Brian Henson wielokrotnie oświadczał, że chciałby doprowadzić Farscape na duży ekran.

W 2009 roku, w 10. rocznicę premiery serialu, światło dzienne ujrzały komiksy „Farscape”, które wyszły spod pióra współtwórcy „Farscape” Rockne O'Bannona oraz autora powieści (w tym również jednej o przygodach bohaterów z „Farscape”) Keitha R. DeCandido. Do tej pory ukazały się 3 serie komiksów po cztery części w każdej – czwarta seria w trakcie. W planach są także webisody, jednakże z powodu globalnego kryzysu ekonomicznego chwilowo zatrzymały się w fazie planowania.

„Farscape” to jeden z nowej generacji popularnych seriali science fiction, których głównym motywem jest przetrwanie we wrogim, chaotycznym wszechświecie oraz skoncentrowanie się na stosunkach interpersonalnych.



Lubię "Ucieczkę w kosmos", ale nie ma co się oszukiwać – "Farscape" nigdy nie miał być poważnym serialem sci-fi, czego dowodzi chociażby spora ilość humorystycznych dialogów (dobrych, złych, nie oceniam, różne są gusta), czy sytuacji absurdalnych, nawet jak na science-fiction z dużym naciskiem na fiction. Serial miał być z założenia lekki, wesoły, owszem, poruszający z kolejnymi sezonami coraz to poważniejsze problemy, ale bez zbytnej przesady. To kolejny serial typu TREK – grupa przypadkowych postaci zjednoczonych w obliczu wspólnego zagrożenia ucieka/podróżuje przez przestrzeń kosmiczną w jakimś mniej lub bardziej klarownym celu. W końcu to produkcja Henson's Studio, więc nie może być tragedią, czy dramatem obyczajowym w pełnym zakresie, jak choćby w „Babylon V”. Dobra bajka dla dużych dzieci, dla młodych duchem dorosłych i wszystkich miłośników SF, którzy nie oczekują fajerwerków geniuszu ze strony scenarzystów i scenografów.



Trzeba przyznać, że postacie są świetnie wykreowane, każda ma w sobie coś unikalnego, np: Aeryn to była kosmiczna nazistka, Rygel to socjopatyczny władca, który wygląda jak upośledzony Yoda, Chiana to nimfomanka, i tak można mnożyć – każdy z bohaterów, zarówno pierwszo- jak i drugoplanowych jest bardzo wyrazisty.

Pomysły wykorzystane w „Farscape” zaskakują świeżością i pomysłowością, choć zdarzają się i stare chwytaki, jak np. zamiana ciał – znana z SG-1.



Jeśli zaś chodzi o wątek romantyczny, to niewiele jest tak dobrze poprowadzonych i tak pięknie pokazanych romansów w historii seriali. Z tym że wątek kończy wraz ze śmiercią tego PIERWSZEGO Crichtona. Później twórcy nie bardzo wiedzieli, jak wybrnąć z całej sytuacji i nie udało im się to do końca (co pokazują „Peacekeeper Wars”, gdzie bohaterowie zachowują się co najmniej dziwnie)...

Obraz społeczeństw galaktycznych przedstawionych w „Farscape” jest dość ponury i groźny. Przy tym, co się tam dzieje, nasze ziemskie konflikty to mały Pikuś (przepraszam: Pan Pikuś). Mam lekką pretensję do twórców serialu, iż w choćby jednym odcinku nie przedstawili jakiejś arkadyjskiej cywilizacji.

Stawiano serialowi wiele zarzutów. Oto ważniejsze z nich:

- prawie na każdej planecie jest zbliżona grawitacja, atmosfera i roślinność jak na Ziemi. Nawet na małych planetoidach, na których coś takiego w ogóle nie powinno być możliwe;

*Odpowiadam: logiczną rzeczą jest chyba, że bohaterowie wybierają planety o grawitacji i atmosferze bardziej im opowiadającej. Co do planetoid to faktycznie przesada!*

- wszystkie inteligentne rasy wszechświata albo wyglądają jak ludzie, albo są bardzo do nich podobne (różnią się zaledwie kilkoma szczegółami). To jest absurd, by ewolucja, która przebiega przypadkowo, tworzyła identyczne gatunki w dowolnym miejscu wszechświata. Do tego u wszystkich ras występuje podział na dwie płcie – tak samo jak na Ziemi. Sposób myślenia i zachowania tych istot także są niemal identyczne jak u ludzi (nawet kultury mają podobne). Ponadto wszystkie cywilizacje są na identycznym, albo podobnym do siebie stopniu rozwoju technologicznego i wszystkie istnieją w tym samym czasie;

*Odpowiadam: uproszczenia fabuły są konieczne. Nikt nie jest w stanie opisać szczegółowo wszechświata w serialu telewizyjnym.*

- mikroby translacyjne to bzdura;

*Odpowiadam: Taką samą bzdurą są cywilizacje galaktyczne mówiące płynną angielszczyzną, jak to jest powszechne w innych serialach SF.*

Na podstawie materiałów z internetu i własnych przemyśleń  
opracował Krzysztof Papierkowski

## KOLEKCJA OKRUCHÓW HISTORYCZNYCH

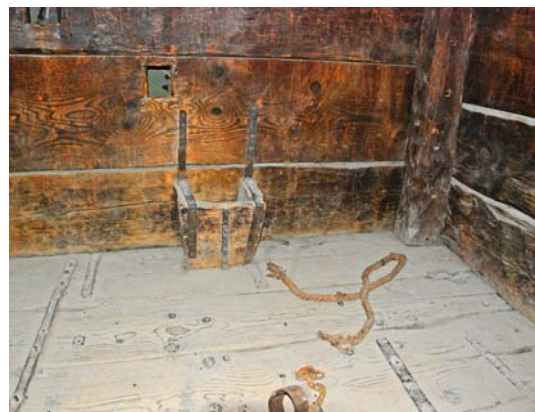
## Tragiczne dzieje grafa z romantyczną gębą

*Jeśliś jest archiwistą, albo choć kolekcjonerem, prędzej czy później przychodzi ci do głowy myśl o przyszłych losach twoich zbiorów. Kiedy już artretyzm zaczyna dawać się we znaki, kontakt z kurzem skutkuje napadami kaszlu, a na nosie spoczywają okulary ze szklami o mocy dziesięciu dioptrii, zaczynasz o losach kolekcji myśleć bardziej intensywnie.*

*„Jak nic – przypadnie!” – myślisz. Podobna troska towarzyszy zwłaszcza tym, którzy (tak jak ja) kolekcjonują okruchy. Zbierane pieczołowicie latami eksponaty bez opiekuna zwykle ulegają zatraceniu. Dlatego, nim będzie za późno, postanowiłem podzielić się moimi zbiorami. Będą to okruchy historii, bo przecież jestem historykiem. Okruchy, które trafiły do mnie w przeróżnych okolicznościach. Jedne wygrzebywałem podczas kwerend archiwalnych, inne same wypadały ze starych woluminów przeglądanych w bibliotekach, jeszcze inne dostałem w prezencie od ludzi, którzy zechcieli mi coś opowiedzieć. Papiery, szpargały, stare fotografie, ukruszone filiżanki. Nad nimi wszystkimi wisi groźba wylądowania na śmietniku, z którego przecież niejeden piękny okruch historii własnoręcznie ratowałem.*

*Teraz trafią do czytelników, którzy – mam nadzieję – przygarną je, a może nawet zechcą je wykorzystać do rozwijania swoich pasji i zainteresowań. Bo, na przykład, dzieje Albrechta II grafa Regensteina, o których chciałbym na inaugurację cyklu parę zdań napisać, z powodzeniem mogłyby się stać kanwą pasjonującej rozgrywki RPG. Po lekkim przyprawieniu ingrediencjami pochodzącymi z uniwersum fantasy – nadałaby się, myślę, zarówno na scenariusz filmowy jak też komiks.*

Na ślad grafa Albrechta II von Regenstein trafiłem w momencie, kiedy właściwie jego historia się kończyła. Zwiedzając muzeum zamkowe w Kwedlinburgu zobaczyłem sporą drewnianą skrzynię z malusieńkim okienkiem i solidnymi, acz również mikrymi drzwiczkami. Z lakonicznego muzealnego opisu wynikało, że w XIV wieku w skrzyni więziony był właśnie Albrecht II. Widywałem już w muzeach podobne eksponaty, jednak zwykle okazywało się, że to replika, albo że nigdy nie użyto go w praktyce i służył jedynie jako postrach przeciw potencjalnym złoczyńcom. W Kwedlinburgu trafiłem jednak na skrzynię więzienną związaną z losami konkretnego człowieka. Sprawa była tym bardziej intrygująca, że akademickie wykształcenie nie dało mi żadnej wiedzy na temat Albrechta II.



*By zobaczyć skrzynię więzienną należy udać się do Muzeum Zamkowego w Kwedlinburgu, pod adresem Schlossberg 1 i uiścić opłatę za bilet w kwocie 4 euro. Wnętrze skrzyni więziennej urządzone w stylu tak obecnie cenionego minimalizmu.*



Kiedy Albrecht przyszedł na świat, gdzieś między 1290 a 1293 rokiem, jego rodzice, Ulryk III i Zofia von Anhalt, władali niewielkim może w skali Rzeszy hrabstwem, które jednak w regionie Harcu liczyło się politycznie i majątkowo. Sercem ich włości była wspaniała forteca na stromej, piaskowcowej skale wznoszącej się na ponad 70 metrów ponad okolicę. Nazwa skały – Regenstein – stała się także nazwą zamku. Na długo jednak nim powstała hrabiowska fortalicja istniał tu tak zwany zamek ucieczkowy, z którego korzystała w razie zagrożenia, już w czasach przedchrześcijańskich, germańska ludność okolicznych dolin. Coś na kształt tolkienowskiego Rogatego Grodu w Helmowym Jarze. Góra była też miejscem pogańskiego kultu i zbierał się na niej plemienny wiec. Z tamtych czasów do dziś przetrwały wyryte w skale komory, o naprawdę solidnych rozmiarach.

Kiedy już Karol Wielki zaprowadził wśród Germanów chrześcijaństwo, a kolejni władcy, chcąc nie chcąc, rozwinęli w okolicy system feudalny, zamek na Wyniosłej Skale (jak ze starogermańskiego tłumaczą nazwę Regenstein znawcy) rozbudowywali tutejsi grafowie. A rozbudowywać trzeba było, bo jeszcze na początku II połowy X wieku region narażony był na najazdy madziarskich hord. I nie były to widać przelewki, skoro pierwszy niemiecki król Henryk I (zwany Ptasznikiem) musiał kupować sobie u Madziarów lata spokoju srebrem i złotem. Nawiasem mówiąc – wykorzystał te lata spokoju doskonale. Pobudował sporo zamczysk, nabierał solidnego wojska i wtedy dopiero zdecydował się zaprzestać płacenia haraczu. A kiedy zjawili się Madziarzy z pretensjami w 933 roku, i to nie gdzieś przy granicy, tylko od razu nad rzeką Unstrutą w Turyngii, sprął ich tak solidnie, że na następną wycieczkę do Niemiec zdecydowali się dopiero po ćwierćwieczu.

Zamki zbudowane za Henryka I przydawały się nie tylko przeciw Madziarom, ale także przeciw wewnątrzniemieckim wrogom króla. Nie wszyscy bowiem niegdysiejsi przywódcy plemienni (a potem już książęta) chwalili sobie centralizację państwa i ograniczanie swoich uprawnień. I, jak to piszą zwykle w podręcznikach, bunty zostały krwawo stłumione, a królowie niemieccy umocniwszy się w Rzeszy mogli zacząć myśleć o koronie cesarskiej. Królowie wyprawiali się zatem za Alpy, by przekonywać papieży urokiem osobistym albo osobistą włóczęgą o konieczności przyznania korony, a potem z wdzięczności albo jechali na krucjatę, albo zwalczali włoskie rycerstwo i mieszczaństwo dybiące na włości papieskie.

*Takich komnat, sal, składów i nisz jest wyrytych w skałach Regensteinu mnóstwo. Przez wszystkie wieki istnienia kolejni mieszkańcy, a potem turyści zostawiali na ich ścianach swoje podpisy. Najstarszy z wyrytych napisów pochodzi z XI wieku i jest najprawdopodobniej rzymskim zapisem daty rocznej 1090. Przed barbarzyństwem kolejnych pokoleń turystów chroni go obecnie gruba pleksiglasowa płyta.*



A tymczasem, zamieszkujące w pobudowanych wcześniej zamkach, rycerstwo niemieckie rosło w siłę i za czas jakiś mogło się wziąć za łby, by walczyć zażarcie o władzę i pieniądze (czytaj: ziemię). A króla, będącego jedyną osobą, która mogłaby rzec pojednawczo „*pax* między chrześcijany”, nie było i nie było. Nic dziwnego, że niemieccy feudałowie nauczyli się radzić sobie sami.

W takich to okolicznościach przyszło dorastać Albrechtowi. A kiedy dorósł – okazało się, że spośród trzynastki swego rodzeństwa jest najstarszym synem. Bo nie wszyscy doczekali pełnoletniości. Takie czasy.

Umierając w 1322 roku ojciec zostawił Albrechtowi włości znacznie poszerzone dzięki mariażom i zakupom. Wierność i służbę Albrechtowi winnych było około sześćdziesięciu wasali, a ród władał w tym czasie szesnastoma zamkami. Zasięg wpływów grafów Regensteinu obejmował nawet miasta, takie jak Blankenburg, Kwedlinburg czy Halbersztadt.

Nic dziwnego, że na rosnącą potęgę sąsiada patrzyli z niepokojem okoliczni panowie. Zwłaszcza biskup z Halbersztadt, *nomen omen* również noszący imię Albrechta II. Uważał się on nie tylko za zwierzchnika duchownego regionu, ale też za ważniejszego w hierarchii lenników królewskich. Wysokie mniemanie o swojej pozycji w feudalnej hierarchii społecznej miały także ksienie kwedlinburskiego klasztoru. Nie dość, że klasztor ufundował cesarz Otton I, to jeszcze pochowano w krypcie na zamkowym i klasztornym wzgórzu prochy Henryka I. Żywa była też wciąż pamięć o pierwszych wielkich przełożonych zgromadzenia, dwóch Matyldach. Pierwsza była wdową po królu Henryku I, druga zaś córką cesarza Ottona I. Za mury tego klasztoru trafiały niemal wyłącznie kobiety z najmożniejszych rodów Saksonii i całych Niemiec.

*Kolegiata świętego Serwacego dominuje nie tylko nad kwedlinburskim wzgórzem zamkowym, ale także nad całą okolicą.*



Konkurencja była silna, jednak Albrecht spoglądając na włości z wysokiej wieży swojej warowni z pewnością zamierzał podążać dumnie śladami wytyczonymi przez ojca i poszerzać majątek. Perspektywy były obiecujące. Przecież ojciec, organizując w 1319 roku jego związek małżeński z Odą z Falkensteinu, z pewnością liczył na większe korzyści niż tylko posag. Próba realizacji tych nadziei była jedną z przyczyn, które doprowadziły do otwartego konfliktu między Albrechtem II von Regenstein a biskupem Albrechtem II z Halbersztadt. Obaj bowiem rościli sobie pretensje do majątku po rodzie von Falkenstein, który wygasł w 1334 roku. Pan na Regensteinie nie wyobrażał sobie, by majątek po jego szwagrze przypadł zaciekłemu rywalowi.

*Dziś by zwiedzić niezwykle widowiskowe pozostałości Regensteinu, które nawet w obecnej postaci robią ogromne wrażenie, trzeba kupić bilet. Dorosły płaci za niego 2,60 euro.*



Nie tylko to było jednak przyczyną waśni. Ogniskiem zapalnym były również nieporozumienia na tle ambicjonalnym, nie całkiem jasny podział kompetencji sądowniczych pomiędzy możnymi władcami oraz komplikujący jeszcze wszystko system zależności senioralno-wasalnych.

W czasach przedfeudalnych Kościół nie sprawował zwykle sądownictwa w sprawach doczesnych – powierzając je władzy świeckiej. Kiedy jednak system feudalny zaczął się rozwijać – Kościół, otrzymując ziemie, stawał się częścią tegoż systemu. By nie obciążać biskupów i opatów sprawami sądownictwa świeckiego władcy przekazywali uprawnienia sądownicze (wójtowskie) w tym zakresie swoim świeckim wasalom. Prawa i obowiązki wójtowskie nad częścią ziem biskupstwa halbersztadzkiego, a dokładniej nad ziemiami należącymi do klasztoru kwedlinburskiego, przysługiwały grafowi Albrechtowi II von Regenstein. Wójtostwo stało się więc okazją do okazywania wyższości zarówno biskupowi Albrechtowi II, jak i ksieni z Kwedlinburga. I wojna gotowa!

Kiedy wiosną 1336 roku w osadzie Honickenberg pojawił się graf Albrecht II – by sprawować sąd – ku jego zaskoczeniu przybył też wraz z delegacją mieszczan i sędziów z pobliskiego Kwedlinburga biskup Albrecht II. Przedstawił przy tym wyrok wydany przez cesarski sąd odbierający grafowi jurysdykcję nad tym miejscem. Hrabia von Regenstein, uznając to za naruszenie



swoich praw, zorganizował w marcu odwetową wyprawę zbrojną na Kwedlinburg. Udało mu się nawet zająć Nowe Miasto, jednak (wobec stanowczego oporu mieszkańców i zagrożenia przybyciem sprzymierzonych z nimi sił z Halbersztatu i Aschersleben) oblężenie Starego Miasta przerwano. Konflikt jednak nie wygasł – i w lipcu następnego roku graf Albrecht został pojmany w Hakteichsumpf podczas wyprawy do zamku Gersdorf.

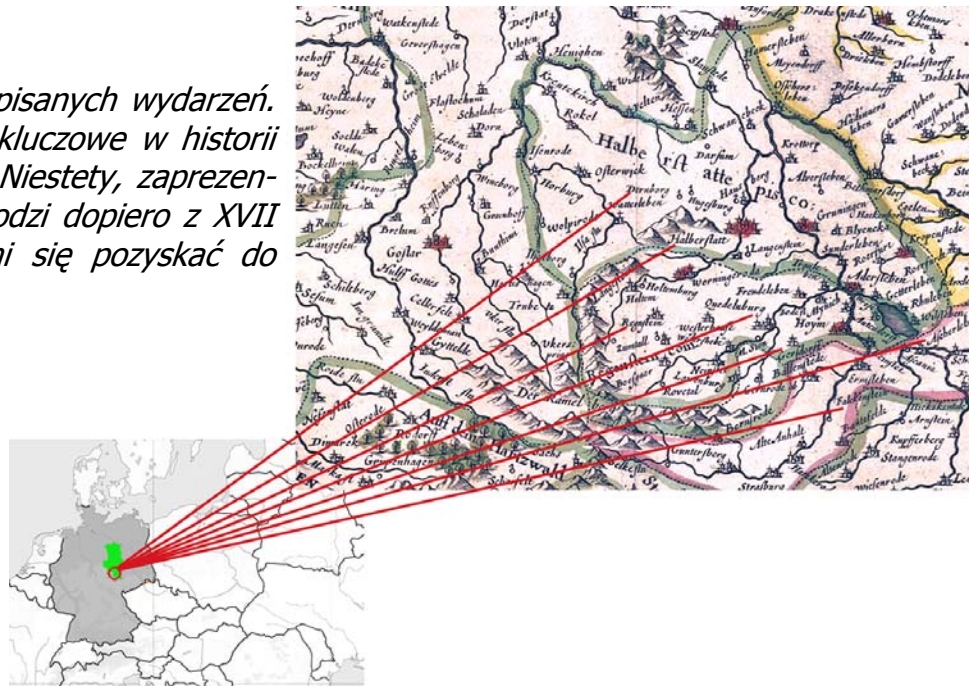
Jeńca przez pół roku upokarzano – trzymając go w drewnianej skrzyni długiej na 2,7 metra, szerokiej na 2,3 metra i wysokiej na 2 metry. W końcu został skazany na śmierć, jednak wykupił się od egzekucji kwotą umożliwiającą obwarowanie murami i basztami kwedlinburskiego Nowego Miasta. Ponadto został też zmuszony do oficjalnego wyrzeczenia się prawa do sprawowania jurysdykcji nad Kwedlinburgiem.

*Scenę wprowadzania grafa Albrechta w kajdanach do Kwedlinburga uwiecznił w 1901 r. profesor Marcus Otto. Jego dzieło jest częścią wielkoformatowego cyklu historycznego w stylu Matejkowskim. Wraz z innymi scenami z dziejów Kwedlinburga jest prezentowane w Sali Reprezentacyjnej (Festsaal) tutejszego ratusza.*



Uwolniony Albrecht próbował z okolicznych feudałów zorganizować sojusz, który mógłby posłużyć mu do zemsty. Jednak okazało się, że biskup sojuszników ma zdecydowanie więcej i są oni zdecydowanie możniejsi. Mimo to kościelny hierarcha musiał chyba dość mocno obawiać się zemsty, gdyż w 1348 r. nasał swoich siepaczy na grafa podróżującego pokojowo z nieliczną świtą z Derneburga do Westerburga. Albrecht II został zamordowany koło Danstedt, a na biskupa spadło za to haniebne odium zabójcy.

*Kartograficzne ujęcie areny opisanych wydarzeń. Linie wskazują miejscowości kluczowe w historii Albrechta II von Regenstein. Niestety, zaprezentowany fragment mapy pochodzi dopiero z XVII wieku. Starszej nie udało mi się pozyskać do swoich zbiorów.*



Ale widać nie dosyć nieszczęść Albrecht II zaznał za życia. Dopadnięto go ponownie w XIX wieku. Przypominał sobie o nim literat Julius Wolff, który postanowił znacząco ubarwić i tak już dość barwne życie grafa. Uczynił on z Albrechta wielkiego bohatera zmagającego się z całym światem w imię prawa, sprawiedliwości i miłości. Dzięki powieści *Raubgraf* z 1889 r. do Albrechta z Regensteinu przyłgnęła na dobre romantyczna gęba. Do dziś większość mieszkańców Harcu kojarzy go wyłącznie z powieściowym zbójcą, którym w istocie nigdy nie był. Ot, i sprawiedliwość dziejowa.



## 5. WYPRAWA Z **SOLARIS TRAVEL** (2)

### Śladami Draculi i Turków osmańskich, czyli Wyprawa Transylwańska (6-21.08.2010 r.)

Jest środa, 11-ty sierpnia. Schodzimy z Markiem na nasze ostatnie rumuńskie śniadanie. Chociaż jesteśmy w restauracji przed czasem, docieramy jako jedni z ostatnich. Wcześniej punktualność nigdy nie była mocną stroną fantastów, ale teraz, po paru latach ciągłych problemów, zachowujemy się niczym typowa wycieczka niemiecka – przybycie na czas nie jest mile widziane, trzeba być wcześniej. Wojtek nieźle nas wyszkolił!!! Posiłek, na który zostaje parę minut, po prostu połykamy. Przed nami niezbyt długa, ale trudna do przewidzenia trasa. Niespodziewanie wjeżdżamy do Bukaresztu – obwodnica jest zamknięta i dokładamy ponad godzinę na przejazd przez miasto. Stolica Rumunii robi przygnębiające wrażenie. Byłam tu przeszło dwadzieścia lat temu i chyba od tego czasu budynki kolosy nie były remontowane. Szczęśliwie, po uporaniu się z tą przeszkodą, docieramy do granicy bułgarskiej i przekraczamy ją bez problemów.

Przed pierwszym zakwaterowaniem w Bułgarii zahaczamy jeszcze o górską wioskę **Arbanasi**. Nie wiem, czy to zmęczenie, czy upał powodują, że na większości grupy ten punkt programu nie robi większego wrażenia. Dziwię się słowom przeczytanym w przewodniku - „Jeśli nigdy nie odwiedziłeś ...wioski Arbanasi... twoje życie jest jak pusta walizka”. Mam odczucie, że miejscowość jest „zrobiona” typowo pod turystów. Duża grupa travelowiczów stosuje metodę pewnego naszego kolegi z wyprawy katarskiej – po opuszczeniu autokaru szukamy miejsca, w którym można wypić dobre miejscowe piwo.



Ośrodek Momina Krepost w pobliżu **Wielkiego Tyrnowa**, w którym przychodzi nam spędzić noc, na długo zapamiętamy. Można tutaj poczuć oddech lat słusznie minionych. Jakość zakwaterowania przypomina szuflandię i wczasy FWP zarazem<sup>1</sup>, a przepisy związane z tymczasowym zameldowaniem (musimy w tempie wypełnić masę formularzy dla miejscowej policji) zwalają z nóg. Z wielką ulgą ruszamy wreszcie do miasta.

Dawna stolica Bułgarii położona jest malowniczo na trzech wzgórzach, wznoszących się nad krętym korytem rzeki Jantry. Przejeżdżamy obok imponującej twierdzy na królewskim wzgórzu Carewec, podziwiamy domy pnące się na stromych zboczach. Okoliczności sprzyjają pstrykaniu dobrych fotek – zachodzące słońce daje

<sup>1</sup> W Bułgarii podziwiałem obszerność kabin prysznicowych. Rzecz w tym, że obejmowały całą łazienkę. Miałem pecha – podczas kąpieli zmoczyłem papier toaletowy.



miękkie światło. Wysiadamy u podnóża starego miasta i wędrujemy uroczymi kamiennymi uliczkami. Wzruszają mnie wystawy sklepowe z typową bułgarską ceramiką i różnymi kosmetykami – przypomina mi się dzieciństwo, kiedy takie właśnie pamiątki z Bułgarii przywozili wszyscy znajomi. Docieramy sporą grupą do miejscowej restauracji. Dla mnie i Kasi jest oczywiste, że zaczynamy posiłek od Szopskiej sałatki. Później na stoły spływają przeróżne potrawy: specialite (kurczak z serem we flaku), gondole (mieszanka mięs podanych w gustownej łódeczce), Boljarski (gorąca patelnia pełna różności) i inne<sup>2</sup>. Z ciekawością poruszam się między stolikami sprawdzić, co też zajadają nasi koledzy – poznawanie regionalnej kuchni to nie tylko moje hobby.



Zbliża się godzina 22:00 i Wojtek przekazuje nam informację o rozpoczynającym się wkrótce widowisku „Światło i dźwięk”. Mam na to ochotę, ale poddaję się decyzji Marka i Rysia o powrocie do ośrodka. Sporo osób zostaje jednak obejrzyć wzgórze Carevec oświetlone laserami i reflektorami przy dźwiękach muzyki. Wrażenia ze spektaklu są różne – jedni są zachwyceni, inni uważają, że całość jest kiczowata.

Żegnani sporym kawałkiem czegoś tłustego na śniadanie – z wielką radością opuszczamy rannem Mominą Krepost. Na pamiątkę dostajemy kopie naszych meldunków, opatrzone dużą ilością pieczętek. Mamy nadzieję, że wszystko, co najgorsze w Bułgarii już za nami. Nic bardziej mylnego: zanim docieramy do Stambułu, zostajemy wystawieni na ciężką próbę pokonania 200-tu km od hotelu do granicy. Najpierw jedziemy marnej jakości szosą, która niespodziewanie przechodzi w szutrówkę i prawie zawieszamy autokar w głębokich koleinach. Dzielni kierowcy wykonują manewr jazdy tyłem, żeby powrócić na coś bardziej cywilizowanego. Później

<sup>2</sup> Niektórzy to mieli dobrze! Ja trafiłem na głupowatą kelnerkę, która zapomniała o moim zamówieniu, a później usiłowała namówić mnie do jego anulowania. Gdy się uparłem, to na głodniaka czekałem 1,5 godziny.



międzynarodowa droga do Turcji (tablice co i raz informują o dotowaniu jej przez Unię Europejską i o konieczności posiadania winietki) okazuje się wąskim, pełnym dziur paskiem asfaltu<sup>3</sup>. Męczymy się już 4-tą godzinę, a do granicy, według map Krzysia, zostało jeszcze 50 km. Prędkość mamy momentami zawrotną – 20km/h. Z trudem odnajdujemy most na rzece Marice – wygląda tak, jakby miał za chwilę zakończyć swój żywot. Tuż za mostem, za sugestią kierowcy tira, wjeżdżamy na drogę z zakazem wjazdu (drogowskazy kierują nas w stronę przeciwną). Do tego wszystkiego dochodzą wątpliwej urody widoki – sterty śmieci ciągnące się po obu stronach szosy. Wreszcie, z wielkim trudem, docieramy do przejścia granicznego.

Po stronie bułgarskiej wysiadamy i wędrujemy gęsiego z otwartymi paszportami. Z nieba leje się żar – w oczekiwaniu na autokar stoimy przytuleni do siebie, niczym owce w stadzie, w cieniu jedyne go małego drzewka. Strona turecka to innego rodzaju przeżycia. Musimy zdobyć wizy i w tym celu przemierzamy się od okienka do okienka. W jednym otrzymujemy znaczki wizowe, w drugim (w znacznej odległości od pierwszego) przybijają nam w paszportach pieczętki. Szczęśliwie unikamy „przetrzepania” autokaru, bo celnicy skupiają się na autokarach bułgarskim i tureckim.

Tuż za granicą wkraczamy w inny świat: super autostrada i do tego wokół jest czysto! Mimo korka na trasie (zaczął się w odległości ok. 70 km od **Stambułu**), stosunkowo szybko lądujemy w pobliżu hotelu Bu-do. Niestety, nikt nie uprzedził nas, że ulica przy hotelu jest rozkopana i musimy nieść bagaże pokonując niezły tor przeszkód. Dodatkowo okazuje się, że parking, o którym była wielokrotnie mowa w korespondencji mailowej, nie istnieje. Kierowcy parkują autokar „na dziko” w pobliżu akweduktu Walensa. Marek jest wściekły i każde niedociągnięcie bardzo przeżywa, bo to On organizował nasze zakwaterowanie w Stambule. Sam hotel jest OK, a obsługa sympatyczna. Najważniejsze, że na piechotę lub położoną w pobliżu linią tramwajową można w prosty sposób dotrzeć do wszystkich interesujących nas miejsc. Przygodę z miastem dwóch cywilizacji, chrześcijańskiej i muzułmańskiej, zaczynamy już pierwszej nocy. A dzieje się dużo, bo trwa przecież Ramadan...



Nie wiem, czy pierwsza noc w Stambule nie jest jednym z najciekawszych naszych momentów w tym niesamowitym mieście. Tuż po zakwaterowaniu ruszamy z Sedeńkami w stronę kultowych miejsc. W okolicach Uniwersytetu zaczynamy powoli odczuwać muzułmańskie święto. Tłumy wiernych gromadzą się w pobliżu meczetu – zalegają trawniki, zasiadają przed sceną, gdzie trwają występy, penetrują stoiska z książkami w rozstawionych namiotach. Niesamowitą atmosferę miejsca wzbogaca nawoływanie do modlitwy przez muezina. Kasia, tak otwarta na świat, nie czuje się tu pewnie: jest trochę przerażona klimatem miejsca. Ja, wprost przeciwnie, z wypiekami na twarzy chłonę wszystko, co mnie otacza. Nasze drogi z rodziną Wojtka rozchodzą się, bo postanawiamy popробować kebabów w jednej z wielu zaimprovizowanych na czas ramadanu ulicznych restauracyjek. Kasia wybiera lody zamiast kebabu. Sprzedawaniu lodowych kulek



<sup>3</sup> Elwira zapomniała, że ostatnie 15 km trasy było rewelacyjną szosą. Pewnie tylko na tyle pozostało z dotacji unijnej. Przypominam, że Bułgaria jest na pierwszym miejscu w Unii Europejskiej, jeśli chodzi o korupcję.



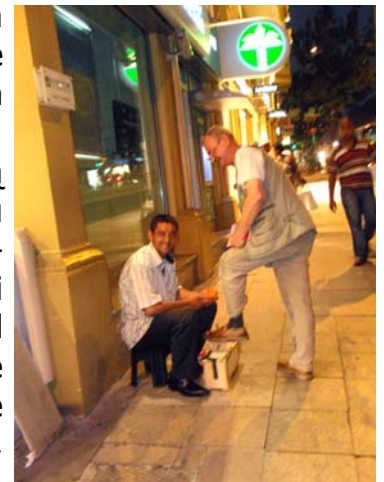
towarzyszy taniec, śpiew, dźwięk dzwonek i żonglerka lodową masą przy użyciu metalowej łyżki (prawie metrowej długości). Posileni wędrujemy dalej.



Docieramy w pobliże cudnie podświetlonego Błękitnego Meczetu. Odwracamy się do niego plecami i... dech nam zapiera – przed nami Hagia Sophia. Tłumy wokół są niesamowite. Występy odbywają się nie tylko na scenach, trwa istny festiwal teatrów ulicznych – po chodnikach wędrują przebierańcy, co i raz prezentowane są krótkie formy teatralne (nie do końca przez nas rozumiane). Na trawnikach nie ma wolnego miejsca. Muzułmanie spożywają swój pierwszy posiłek po zachodzie słońca – iftar. Zdarzyło mi się parę razy w życiu przebywać w kraju muzułmańskim w okresie ramadanu, ale takiego natłoku wydarzeń jak w Stambule nigdzie nie widziałam.

Zmęczeni okrutnie docieramy do hotelu. Przed zaśnięciem układamy sobie plan zwiedzania miasta na najbliższe dni. Nie jesteśmy jeszcze świadomi tego, jaką przygodę z pucybutem zalicza tego dnia Krzysiu<sup>4</sup>.

Rankiem, tuż po śniadaniu, zbieramy się dużą grupą i wędrujemy pod przewodnictwem Wojtka w kierunku Sultanahmet. Temperatura i narzucone tempo marszu powodują, że wszyscy jesteśmy mokrzy. Miłym akcentem tej wędrowki jest rozmowa z Turkiem, który zaczepia mnie pytaniem, skąd jesteśmy. Po usłyszeniu, że przyjechaliśmy z Polski nawiązuje do naszej historii – wspomina o wiosce Polonezkoy. Fajnie, że w Stambule traci swój sens popularne powiedzenie „Poland, Holand, all the Germans”.



<sup>4</sup> Dałem się nabrać na stary chwyt istambułskich pucybutów. Podniosłem szczotkę, którą upuścił idący przed nami pucybut. Ów z „wdzięczności” za grzeczność wymusił wręcz na mnie czyszczenie butów. W trakcie pracy opowiadał, jaką to ma dużą i chorowitą rodzinę. Wypadało coś mu zapłacić. W końcu skasował ze mnie 3 TL (tureckich lir).

Docieramy do **Haghia Sophia**. Nie dziwię się przewodnikom, które określają kościół Mądrości Bożej za jedno z największych osiągnięć architektury światowej. Budowla będąca mieszanką kultury chrześcijańskiej i muzułmańskiej robi kolosalne wrażenie. Piękne mozaiki i ogromna przestrzeń świątyni powodują, że czuję się tutaj malutka. Grupa travelowiczów zbiera się po zwiedzaniu bardzo opieszale, co niektórych (w tym mnie) strasznie wkurza. Sztambuł staje się pierwszym miejscem w historii naszych Solarisowych wypraw, gdzie dochodzi do podziału towarzystwa na wędrujące samodzielnie podgrupy.



My, Zawidzcy, ruszamy dalej w towarzystwie Iwony. Posileni wodą mineralną zakupioną u ulicznego sprzedawcy wybieramy jako kolejny punkt programu **Błękitny Meczet**. Szczęśliwie wejście do niego jest darmowe, a przed wejściem można zaopatrzyć się w chustę do zakrywania nieprzyzwoitych części ciała (czytaj ramiona i nogi) i jednorazową torebkę do noszenia obuwia. Wnętrze meczetu jest rzeczywiście błękitne – powoduje to barwa ceramicznych płytek dekorujących budowlę. Turystów jest tu pełno, modlących się niewielu – pojawią się zapewne po zmroku.



Przed wizytą w labiryncie uliczek Wielkiego Bazaru wstępujemy jeszcze do restauracji na piwo. Wypicie trunku z procentami w trakcie trwania ramadanu nie jest proste i chyba właśnie z tego powodu, w połączeniu z możliwością posiedzenia sobie w ożywczej mgiełce wodnej spadającej na konsumentów, płacimy niezwykle słony rachunek.

W świat **Wielkiego Bazaru** wkraczamy Bramą Kapalicarsı. Od wejścia zaskakuje nas miły chłodek – działa klimatyzacja!!! Wyczytałam, że sklepików jest tutaj ponad





4 tysiące. Naprawdę mamy co oglądać, ale niestety, tak jak przewidywaliśmy, ceny są wyższe niż gdzie indziej. Po ok. 2-ch godzinach wychodzimy z bazaru bez zakupów. Rzutem na taśmę kupujemy na straganie w drodze powrotnej torebkę „Prady” za wyjątkowo okazjonalną cenę. Popołudnie spędzamy na zakupach w towarzystwie Iwony i Sedeńków. Efekty negocjacji są udane i wracamy do hotelu (z postojem na posiłek) bogatsi o torebki, perfumy, szisze i ubrania. Jestem tak wykończona mijającym dniem, że o integracji nie ma co marzyć. Wojtka podejrzewam o zawarcie jakiegoś paktu z kosmitami, bo ma jeszcze siły na wędrówkę w stronę mostu Galata.

Kolejne dni w Stambule spędzamy nadal w podgrupach. Ma to swoje zalety i wady. Dobrą stroną jest większa swoboda w wyborze miejsc i tempa zwiedzania. Złą stroną takiego układu jest brak kontaktu całej grupy – a co tu dużo mówić – lubimy się. Mój opis jest zatem bardzo subiektywny, chociaż jakoś „dziwnym trafem” większość z nas trafia w te same miejsca, tylko w różnym czasie.

Kontynuujemy rodzinne zwiedzanie Stambułu wspólnie z Iwoną. Decydujemy się na dojazd do Złotego Rogu tramwajem. Przejazd jest szybki i komfortowy, bo w tramwaju jest klimatyzacja. Nad zatoką unosi się charakterystyczny zapach ryb. Na moście Galata królują wędkarze, pod mostem pełno restauracji serwujących ryby.



Robimy rozeznanie w rejsach turystycznych po Bosforze i wędrujemy dalej. Wkraczamy w świat **Targu Korzennego**. Jesteśmy zafascynowani nie tylko zapachem, ale również kolorami. Odurzeni wonią przypraw, szyszowego tytoniu i perfumowanych olejków trafiaamy do kawiarni tuż obok targu. Pyszna jabłkowa herbata wzmacnia nas na dalszą wędrówkę.

Następnym punktem programu jest **Cysterna Bazyli-kowa**<sup>5</sup> – co za miejsce!!! Jest niesamowicie klimatycznie: półmrok, rzędy łagodnie podświetlonych kolumn, ryby pływające w czystej wodzie. Z chęcią zostałabym tutaj dłużej, ale ponownie wychodzimy na żar lejący się z nieba.



<sup>5</sup> Największy z bizantyjskich podziemnych zbiorników wody pitnej. Cysterna została zbudowana w VI wieku n.e.



Zmęczeni, z wielkim trudem docieramy do **Topkapi**<sup>6</sup>. A jednak warto było trochę wysilić się i poświęcić 20 TL na wstęp do pałacu. Sułtan to miał życie – harem, saraje, skarbiec. Wszędzie kapie złoto, macica perłowa i drogocenne kamienie. Zastanawiam się, czy tureccy sułtani byli rzeczywiście tak wysocy, jak na to wskazują rozmiary ich strojów. Widok z tarasów pałacowych na Bosfor zapiera dech. Topkapi jest dla nas ostatnim zabytkiem tego dnia.



Wieczór spędzamy w prawdziwie tureckiej restauracji na bocznej uliczce, którą odkryła grupa Patrycji. Podoba nam się atmosfera miejsca (taka bez zadęcia i nabierania turystów) oraz kipiące wokół uliczne życie – samochody prawie ocierają się nam o plecy. Regionalna kuchnia jest smaczna i w przyzwoitej cenie, więc postanawiamy do końca pobytu właśnie tutaj wydawać pieniądze na wieczorny posiłek. Widać, że jesteśmy mile widzianymi gośćmi. Szczególnym poważaniem cieszy się Patrycja – jest wyraźnie



adorowana przez rozumiejącego język polski kelnera. Przy stole wypisujemy kartki do fantastów, których zabrakło na wyprawie: Eli, Gosi Kołakosi i Pawła z Kraśnika. Darek ujawnia swój skrywany dotąd talent plastyczny i ozdabia treść wesołymi rysunkami (wiem od Eli, że była smoczkiem w tureckiej czapce bardzo wzruszona).



Niedzielę rozpoczynamy od rejsu po **Bosforze**. Wędrujemy do portu w większej grupie. Wskazówek co do wyboru wycieczki udziela Ania, która zalicza taką przygodę ze „swoimi” dzień wcześniej. Całkiem przyzwoity stateczek zabiera nas z portu Eminonu na 1,5 godzinny rejs za 10 TL. Chłoniemy widoki z prawej i lewej strony burty. Monumentalne meczety i pałace są kontrastem dla drapaczy chmur, wszędzie mnóstwo zieleni. Ruch na wodzie jest niesamowity: spotykamy zarówno jachty, stateczki turystyczne jak i potężne jednostki – pasażerskie i handlowe. Przepływamy pod Mostem Bosforskim, jednym z najdłuższych wiszących mostów na świecie. Samochody na nim wyglądają z poziomu wody jak pudełka od zapalek. Utrwalamy na fotkach i filmie potężną Twierdzę Europa usytuowaną w najwęższym miejscu cieśniny oraz sporo mniejszą, starszą o 50 lat, Twierdzę Azja. W drodze powrotnej przepływamy blisko

<sup>6</sup> Stary pałac tureckich sułtanów. Od 1853 roku sułtani „urzędowali” w pałacu Dolmabahce.



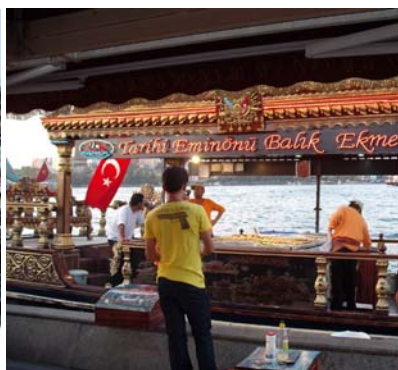
**Pałacu Dolmabahce.** Oglądamy go tylko od strony cieśniny, ale Ania i Krzysiu razem z Sokólskimi, przyglądają się tego dnia obiektowi nieco bliżej<sup>7</sup>.



Jesteśmy ponownie w porcie Eminonu. Jeszcze rankiem nasze plany zwiedzania były znacznie bardziej ambitne – **wieża Galata**<sup>8</sup>, azjatycka część Stambułu<sup>9</sup>. Niestety



sprawy zdrowotne (do diabła z tą klimatyzacją!!!) powodują, że ograniczamy się do przekąski rybnej sprzedawanej wprost z portowych „dzonek”, drobnych zakupów dla przyjaciół i kolacji w większej grupie. Liczę, że w tym momencie inicjatywę opisaną innych obiektów godnych uwagi przejmie Krzysiu.



Poniedziałek – dzień, w którym opuszczamy Stambuł – nie rozpoczyna się dla nas szczęśliwie. Ale o tym dopiero w następnym odcinku wyprawowych wspomnień.....

*Elwira Zawadzka*<sup>10</sup> cdn

<sup>7</sup> Zwiedzanie pałacu sułtańskiego Dolmabahce trwało 3 godziny. Były to trudne godziny, bo w ramach realizmu historycznego (jak zaznaczał przewodnik) w pałacu nie zainstalowano klimatyzacji. Niemniej jednak zwiedziliśmy, m.in., apartamenty rodzinne i prywatne, harem i Wielką Salę Audiencyjną, w której największe wrażenie robi 5,5 tonowy kryształowy żyrandol.

<sup>8</sup> Stara genueńska twierdza. Warto wejść, by z góry zobaczyć miasto, zatokę Złoty Róg i cieśninę Bosfor.

<sup>9</sup> Oprócz rejsu po Bosforze, popłynęliśmy promem do Üsküdaru – azjatyckiej dzielnicy Stambułu.

<sup>10</sup> Przypisy wykonał Krzysztof Papierkowski

# Dziesiąty księżę Amberu

*W każdej nauce tyle jest prawdziwej wiedzy,  
ile jest w niej matematyki.*

*(Karl Friedrich Gauss, 1777-1855)*

Oto wypowiedź godna prawdziwego Amberyty, który nie zawraca sobie głowy jakimiś cieniami, nieprawdaż? ...chyba że są dostatecznie wyraziste. Gauss zajmował się fizyką teoretyczną, geodezją i astronomią, ale jego prawdziwą miłością była *królowa nauk*, o której tu niefrasobliwie rozprawiamy. Zwany był już za życia *księciem matematyków* i podobno „wiedział wszystko” – więc może rzeczywiście był jakimś zagubionym dziedzicem Amberu?

Gauss pozostawił swój ślad właściwie w każdym dziale matematyki, najbardziej podobno jednak cenił sobie konstrukcję siedemnastokąta foremnego (tzn. takiego, który ma równe boki i równe kąty), którą odkrył jako dziewiętnastolatek. Legenda głosi nawet, że chciał mieć nagrobek tego kształtu. Czy jako siedemnastolatek próbował skonstruować dziewiętnastokąt foremny – historia milczy; dowiódł jednak później, że zadanie to (jak i wiele innych) jest niewykonalne. Tu godzi się przypomnieć, że chodzi o działania w świecie idealnym (Amberze), a nie w cieniu Ziemi, gdzie wszystko można skonstruować dowolnie dokładnie, czyli *prawie*, ale to *prawie* decyduje o wszystkim. Istnieje np. dość prosta i bardzo dokładna (w granicach grubości kresek), tym niemniej przybliżona konstrukcja siedmiokąta foremnego, którą można odszukać w podręcznikach dla inżynierów. Nie jest ona jednak matematycznie poprawna – co oznacza, że w świecie Amberu nie istnieje. Mamy więc do czynienia z czymś, czego Platon nie przewidział: są takie cienie, które przez nic nie są rzucane.



Cyril Northcote Parkinson (ten od *prawa Parkinsona* o biurokracji) lansował kiedyś pogląd, twórczo parodiujący nasze dzisiejsze motto, że każdy tekst roszczący sobie prawo do naukowości powinien w charakterze ozdobnika zawierać jakąś formułę matematyczną, najlepiej malowniczą i wielce skomplikowaną<sup>\*)</sup>. Ośmielony tą ideologią pozwolę sobie podać, pochodzący od Gaussa, niespecjalnie malowniczy wzór określający ilość boków ( $n$ ) tych wielokątów

foremnych, które można skonstruować w klasyczny sposób, czyli przy pomocy cyrkla i linijki. Mianowicie  $n$  jest iloczynem

$$n = 2^s p_1 \dots p_m,$$

gdzie  $s, m = 0, 1, 2, \dots$ , a  $p_1, \dots, p_m$  są różnymi liczbami pierwszymi, które na dodatek są tak zwanymi liczbami Fermata, czyli liczbami postaci  $F_k = 2^t + 1$ , gdzie  $t = 2^k$ , dla  $k = 0, 1, 2, \dots$ . Konkretniej,  $F_0 = 3$ ,  $F_1 = 5$ ,  $F_2 = 17$ ,  $F_3 = 257$ ,  $F_4 = 65537$ , itd.

Pierre de Fermat, odkrywca tych liczb (o którym napiszę w następnym odcinku), uważał, że wszystkie one są pierwsze. Wymienione powyżej rzeczywiście są, lecz już następna,  $F_5 = 4294967297$ , jest liczbą złożoną. Co więcej: nie wiemy, czy wśród liczb Fermata istnieją jeszcze jakiegokolwiek inne liczby pierwsze poza powyższymi. Tłumacząc to wszystko po ludzku: można skonstruować wielokąty foremne o liczbie boków  $3, 4, 5, 6, 8, 10, 12, 15, 16, 17, 20, \dots$ , a nie można o ilości boków  $7, 9, 11, 13, 14, 18, 19, 21, \dots$ . A co z liczbami  $F_3 = 257$  i  $F_4 = 65537$ , należącymi, jak by nie było, również do pierwszej serii? Myślicie, że nikomu się nie chciało wykonać odpowiednich konstrukcji? I tu się mylicie – dzieło życia pewnego pasjonata tego zagadnienia jest przechowywane na uniwersytecie w Getyndze w kilku dużych skrzyniach.

Andrzej Prószyński

<sup>\*)</sup> W swoim czasie znany był tzw. *wzór Dudy* (matematyka i ministra jednocześnie), określający wysokość finansowania poszczególnych uczelni publicznych. Dziś pozostały po nim jedynie miłe wspomnienia.





**Andrzej Prószyński**



## WILK CMENTARNY

Posterunkowy Łapciuch nie miał lekkiego życia. Już w podstawówce musiał nieustannie użerać się ze swoimi rówieśnikami – a to bazgrzącymi po murach, a to rzucającymi śmieci, gdzie popadnie – i trzeba powiedzieć, że nie raz i nie dwa dostawał od nich niezły wycisk. Potem zmężniał i okrzepł, wstąpił do ORMO, lecz nie dało mu to pełnej satysfakcji. Dopiero po ukończeniu szkoły ZOMO poczuł, że wreszcie (zgodnie z porzekadłem) wyszedł na ludzi. Niestety, poważna kontuzja ręki podczas pałowania wyeliminowała go ze służby operacyjnej i zdegradowała do upokarzającej roli krawężnika lub w porywach nawet mola biurowego. Za starego reżimu dawał sobie jeszcze z tym jakoś radę; gorzej za nowego, w którym respekt dla władzy, teraz już nie ludowej, stopniał niemal do zera. Zgryzota rzuciła mu się na serce i nie trzeba było długo czekać, by bez dania racji wykitował na zawal.

Teraz, po śmierci, było jeszcze gorzej. Widział wszystko, a możliwości interwencji były zgoła żadne. Znosił mężnie liczne kradzieże kwiatów z mogiły swojej i sąsiadów, lecz kiedy wyjątkowo bezczelny rabuś wymontował z jego nagrobka wykwinny wazon – zainstalowany raptem dwa dni wcześniej przez małżonkę Łapciucha, Cecylię – poczuł, że miarka się przebrała. Wpadł w niepohamowaną wściekłość i stwierdził, że tak dłużej być nie może.

Cóż jednak mógł zrobić? Z Panem Bogiem i jego aniołami od dawna miał na pieńku; co gorsza – nie wierzył nigdy w żadne parapsychologie, poltergeisty i inne fiki-miki. Pozostał tylko jeden potencjalny sojusznik, ale ten ani chybi chciałby go wykiwać, jak wszyscy złoczyńcy i popaprańcy, których spotkał w życiu. Sytuacja patowa, bez żadnej dyskusji. Zżymał się więc nasz Łapciuch całkiem bezproduktywnie, gdy wtem...

Zawsze wierzył w kosmitów, nie stracił więc kontenansu, kiedy w otaczającym go eterze zmaterializował się (jeśli można tak to określić) standardowy ufoludek z folkloru miejskiego. Ów odchrząknął, odcharknął i zagrzmiął:

– Łapciuchu, twoje zaangażowanie miłe jest sercu każdego mieszkańca Kosmosu, dlatego też zdecydowaliśmy się wspomóc cię w zbożnym dziele tępienia złoczyńców. Otrzymujesz od nas Złotą Pałę, symbol twojego urzędu, którego nazwa brzmi: Wielki Intergalaktyczny Likwidator Kryminalistów (w skrócie WILK). Owa pała grzmoci tak samo dobrze w zaświatach, jak i w realu, a więc szczęść ci Boże!

– Szczęść – odpowiedział lapidarnie Łapciuch i nie zwlekając przystąpił do dzieła. Najpierw zdybał tego od wazonu i wygrzmocił go tak, że nieszczęśnik dał tyły, obolały okrutnie. W następnej kolejności wziął się za kwiatokradów, dewastatorów i inne szemrane typki grasujące dotąd bezkarnie na cmentarzu, a uporawszy się z nimi – rozszerzył działalność na inne nekropolie i w końcu na całe miasto. Na złoczyńców padł strach, błąd i zabobonny. Gdy więc któryś z nich, znużony przestępczą krzątaniem, przysiadzie czasem na murku lub (co nie daj Boże) na nagrobku, koledzy po fachu ostrzegają go szczerze:

– Nie boisz się wilka złapać?

*(napisane w Halloween, AD 2010)*

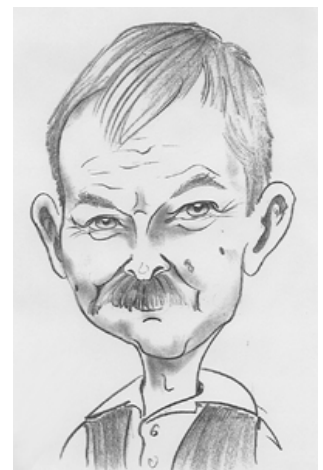


## (Prawie) wszystkie imiona Szatana

- # Szatan rzymski – DCLXVI
- # Szatan binarny – 1010011010
- # Szatan oktalny – 1231
- # Szatan zespolony – 666+i666
- # Szatan sprzężony – 666-i666
- # Szatan XOR hexadecymalny – 465745
- # Szatan w SB – TW "SZATAN" nr 666/6666
- # Szatan CRC32 hex – 66FE8B24
- # Szatan ASCII – 054054054
- # Szatan silnia – 666!
- # Szatan heksadecymalny – 00000000: 36 36 36
- # Szatan RGB – 00,66,60
- # Szatan z rozdwojeniem jaźni – 1332
- # Szatan z Heyah (ładujemy podwójnie!) – 1332
- # Nowy lepszy Szatan – 667
- # Szatan w 10 ratach 0% – 66.6
- # Szatan z Biedronki – 666 nadgodzin niezapłaconych
- # Half-devil (w wolnym tłumaczeniu: pół Szatana) – 333
- # Szatan półgłówek – 333
- # Prawie Szatan – 665 (tak zwane mniejsze zło)
- # Pijany szatan – 696
- # Zbiór liczb szatana –  $s=\{666\}$
- # Szatan do kwadratu – 443556
- # Szatan do potęgi Szatana –  $1,335285606 \times 101693 + 2.23511115 \times 10186$
- # Szatan nawrócony – 0
- # Szatan odwrócony – 999
- # AntySzatan – -666
- # Szatan w promocji hipermarketu "Albert" – 665,99
- # Szatan z VAT-em 7% – 712,62
- # Szatan z VAT-em 22% – 812,52
- # Szatan po rozliczeniu z fiskusem (PIT-37) – 539,46
- # Perwersyjny Szatan – 666999
- # Pierwiastek zła – 25,8069758
- # Odwrotność Szatana – 1/666
- # Radio Maryja – 66,6 MHz
- # Suma Szatana – 18
- # Różnica Szatana – -6
- # Iloczyn Szatana – 216
- # Iloraz Szatana – 16
- # Sąsiad Szatana – 664 lub 668 (665 i 667 mieszkają po drugiej stronie ulicy)
- # Szatan syjamski – 666666
- # Szatan z amnezją – 616
- # MikroSzatan – 0.000666
- # Szatan intelowski – 666 MHz
- # Szatan silnikowy – 666 KM
- # Szatan elektryczny – 666 V
- # Szatan inżynierski – 6,66E+2
- # Szatan pamięciowy – 66,6 MB
- # Prędkość Szatana – Warp 666
- # Poćwiartowany Szatan – 6 6 6
- # Ocenzurowany Szatan – XXX
- # Szatan z promocyjnym doładowaniem Simplusa (+20%) – 799,2
- # Szatan okresowy – 666,(6)



# Szatan Samo Zło – 666+ZŁO  
 # Mniejszy Szatan – 555  
 # Szatan pełnoletni – 18\*666  
 # Szatan md5 – fae0b27c451c728867a567e8c1bb4e53  
 # Nanoszatan – 0,000000666  
 # Szatan sztuczna inteligencja – HAL 6666  
 # Bardzo zбочony Szatan angielski – sex, sex, sex  
 # Szatan komórkowiec – 0 666 666 666  
 # Szatan z loczkami – 6:) 6:) 6:)  
 # Szatan brytyjskich służb specjalnych MI6 – 00666  
 # Ciężki Szatan – 666 kg  
 # Szatan w dieslu – 6.66 TDI  
 # Szatan partyline – 0700 666 666  
 # Szatan infolinia dla samobójców – 0800 666 666  
 # Szatan policyjny – 997=666  
 # Długi Szatan – 666 m  
 # Dłuższy szatan – 666 km  
 # Szatan kreskowy – ██████████  
 # Mały Szatan – 666  
 # Duży Szatan – **666**  
 # Gruby Szatan – **666**  
 # Pierwiastek chemiczny Szatana – math  
 # Szatan linuksowy – rw-rw-rw-  
 # Szatan sześcienny – 295408296  
 # Szatan pokemonów – GGG  
 # Szatan w ciąży – 6(6)6  
 # Szatan pokemon – 5zeSC\$et \$CheSC]]z1e\$14t \$CheSC  
 # Szatan HTML – <666>  
 # Szatan PHP – <? include('666'); ?>  
 # Szatan interpreter PHP – syntax error on line 666  
 # Szatan na głowie... – 999  
 # Szatański wąż – ~6~6~6~:)  
 # Szatańskie spojrzenie – 666\_666  
 # Szatan postępu – |=====>666%  
 # Szatan unicode – UTF666  
 # Haskellowy lambdaszatan – x.666  
 # Szatan procentowy – 666%  
 # Szatan BCD – 011001100110  
 # Szatańskie IP – 6.6.6.0 lub 6.6.6.6  
 # Szatan zdenominowany – 0,666  
 # Szatan w zimowej obniżce cen w Ikea (-30%) – 466,2  
 # Szatan w potrzasku – |666|  
 # Szatan geniusz – 666 IQ  
 # Szatanista – 666+i100a  
 # Szatański – 666'ski  
 # Puzzle Szatana – 666 kawałków  
 # Szatan w historii – 666 r p.n.e.  
 # Szatan w sejmie – 460  
 # Szatan pokemoniasty – \$hAt4N:\*  
 # Szatan bez ogonków – ooo  
 # Szatan XXI wieku – 06.06.06  
 # Szatańsko tanie wino – 6,6 zł za 6 litrów, alc 66,6% vol  
 # Szatan obcięty – 66  
 # Szatan obcięty i pijany – 69  
 # Szatan z Luizjany – 749





# Stereo i w kolorze

009

Jak większość znanych mi rozsądnych ludzi z odpowiednio dorosłym dorobkiem – w proteście przeciw stereo i kolorom przenieśli się na wieś. Przeflancowany z wyboru zarobiłem na czasie wolnym, lecz nie zagospodarowałem go (jak ci rozsądni) ani kontemplacją nieskażonej przyrody, ani wtykaniem zielska w ziemię. Można powiedzieć, że wręcz odwrotnie. „Moja” wieś, dosłownie trąca autentyzmem, wzbudziła we mnie tak wielkie, że niemal chorobliwe, zainteresowanie miastem.

Próbuję jakoś sobie z tym poradzić w najlepszy znany mi sposób. Dzięki książkom.

Oczywiście książkom fantastycznym. Choć w teorii miasto interesowało nie tylko fantastykę było trochę, tak że sam motyw miasta ufantastykował literaturę „z automatu”; tak jest choćby z Paryżem Prusa, po którym już zawsze będzie snuł się duch Wokulskiego z blaszką w ręku. Instynktownie opieram się uznaniu „Mistrza i Małgorzaty” za fantastykę – polska rzeczywistość aż nadto dobitnie dowiodła, że rękopisy rzeczywiście nie płoną, a demonstrowanych ich zadziwiająco niepalność natychmiast obwołuje się szatanami – ale Moskwa, widziana z perspektywy czarodziejskiej miotły, niewątpliwie czyni wielowymiarowe arcydzieło jeszcze więcej wymiarowym. Zaczynam podejrzewać, że „rzucając cyberpunk na rynek” w miesięczniku i wydawnictwie Fenix cierpię już na jednostkę chorobową zwaną antycypacją.

Antycypacja, choć w nieco innej formie, objawiła się w alergicznej reakcji na wieś: chorobliwie namolnej konieczności sięgnięcia po nowość. Jakakolwiek, skądkolwiek przychodząca, obojętnie w jakiej formie. Na szczęście fantastyczne nowości oferują nam bogactwo miast. Można powiedzieć, że od miast aż się w nich roi. Takim jak ja fantastyka znów prezentuje swe walory terapeutyczne – rychtyk jak to było z Argolandem leczącym, choć tylko chwilowo, z nudnej powagi komuny.

Ale cóż, tempora mutantur et nos mutamur in illis. Wygląda na to, że ja też muszę, choć zrobię to niechętnie i z pewnością nie dziś. Dziś będę jeszcze ulegał złudzeniom.

Bo to moje złudzenia ciągle każą mi wierzyć, że kreowane w wyobraźni kreatora miasto, choćby nawet tak fantastyczne jak Los Angeles Chandlera, winno być strukturą opisywaną w całej swej komplikacji, choć jednostronnie. Że musi funkcjonować, jeść, pić, wydalać i zagospodarowywać ścieki. Że jako swego rodzaju literacki bohater musi literacko żyć. Że od nie-miasta odróżnia je to, że jest siedzibą cywilizacji - obojętnie jak ją oceniamy; a jeśli nią nie jest - mamy całkiem nośny paradoks. Że coś nazywa się „miastem” po coś: po to mianowicie, by je odróżnić od tego, co miastem nie jest. I wreszcie, że znając miasta z autopsji (nawet jeśli mieszkamy na wsi) coś pod tą nazwą rozumiemy; czyli bardziej uczenie – pojęcie „miasto” ma desygnat.

Tymczasem... nic z tych rzeczy. Miasta współczesnej, czytanej i podziwianej fantastyki są tworem szaleńców zamieszkałymi przez szaleńców (świętych nie dało się stwierdzić). Do diabła z tym, że szaleństwo to coś wysoce skomplikowanego i spójnego, że leczy się je odkrywając jego strukturę i delikatnie wymieniając elementy. Przecież to za trudne! Szaleństwo miasta we współczesnej fantastyce, w odróżnieniu od ciągów i matrixów, polega na tym, że wszystko może się tam zdarzyć; nie wiadomo po co i dlaczego.

A jak wszystko może się zdarzyć... cóż, przynajmniej dla mnie nic nie jest już interesujące.

Dla mnie moja zapadła wieś jest ciekawsza, bo zaskakująca, a nie ma zaskoczenia bez logiki.

Bo mogę mieć złudzenie, że w niej jest gdzieś jakaś logika.

Będę żywił to złudzenie czekając, aż antykwariat przyśle mi zamówioną „Chwałę Cesarstwa” Jeana d’Ormessona. To tyle jeśli chodzi o nowości. Informacyjny szum jest czymś, czego nawet stereo i kolor nie uczynią interesującym. Wręcz przeciwnie, w stereo i kolorze nuży bardziej.

*Krzysztof Sokołowski*

## GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY: skr. poczt. 76, 80-325 Gdańsk 37

STRONA: [www.gkf.org.pl](http://www.gkf.org.pl)

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nacz.), Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski,  
Michał Szklarski

OKŁADKA: Sławomir Wojtowicz

GRAFIKA: RaHel (33)

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYŃIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

*Nakład 300*

*WYDAWNICTWO BEZPŁATNE*

## INFORMATOR

# 258

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji